



H. Kawabata
WSP. Kielce

W OKOWACH.



W OKOWACH.



POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

WILHELMA FELDMANA.



LWÓW.

NAKŁAD KSIĘGARNI POLSKIEJ.

1890.



090794

DRUKIEM JÓZEFA FISCHERA

Kraków, ulica Grodzka 62.



I



W cichym zazwyczaj i pustym domku przy ulicy Pańskiej w Ostrogu, jednym z większych miast wschodniej Galicyi, ożywienie panuje obecnie wielkie. Młodzi państwo Zimowieccy, właściciele dóbr okolicznych, zamieszkali tu od kilku miesięcy, święcą dziś uroczystość chrzcina córeczki, drugiego dziecka, które im czteroletnie pożyacie przyniosło.

Pan Zimowiecki nie należy do osób bardzo w powiecie popularnych — to prawda, ale za to był ś. p. ojciec jego pocziwcem z kościami, a ten względ, połączony z nadzieją sutej libacyi, sprowadził mu teraz kilka tuzinów przeróżnych gości. Rozsiedli się naokoło wielkiej «podkowy», ustawionej w salonie, mając na czele marszałka i jego połowicę,

następnie wąsate i gołowase fizyognomie sąsiednich «panów braci», przeplatane, jak w pstrym wieńcu, kilkoma c. k. mundurami i jeszcze bardziej malowniczymi kostyumami damskimi. Tych ostatnich stosunkowo mało tutaj. Część ich zasiadła wraz z gospodynią domu w jej buduarze — niewiadomo, wskutek niedyspozycyi, czy kaprysu pani Jadwigi Zimowieckiej.

Po ceremonii i oficjalnych gratulacjach wszyscy zajęci konsumcją. Pan Kazimierz Zimowiecki obchodzi stół dokoła z uśmiechem zastygłym na grubych wargach, z wyrazem znużenia w mętnych, zielonych oczach. Wychowanek wiedeńskich klubów i *etablissement'ów* nie czuje się dobrze w swej roli. Pięć lat już, jak osiadł na zagonie rodzinnym, a nie potrafi się zaaklimatyzować, nasiąknąć manierami i trybem życia kochanych swych współ-obywateli. A teraz musi co chwila nad tym się schylać, temu kordyalnie rękę ścisnąć, tu zaś rozszerzać usta do uśmiechu w odpowiedzi na chichoty pań lub dyskretne komplimenta kawaleryi. Nieznośna to rzecz, ale — obowiązkowa. Pojmuje to dobrze pan Kazimierz i wyrzuca z siebie od czasu do czasu wykrzyk nerwowy, ochryplą gamę śmiechu, przyczem gładzi popielate bokobrody, przylepione do nalanej, żółtawej twarzy, a w śmiechu trzęsie się całym,

dość niskim korpusem, okazującym wyraźne skłonności do zaokrąglania się.

Między zebranymi dobra kuchnia i jeszcze lepsze wino robią swoje; wraz z kipiącym szampanem tryskają, rozlewają się potoki gwaru i dobrego humoru. Młodzież podzwania szklankami, panie wachlują się zawzięcie.

Ojciec chrzestny, pan marszałek, podniósł się z miejsca honorowego z kielichem w ręku.

Zapanowała cisza. Pan Zimowiecki szepnął, czy nie należałoby zaprosić żony, potem wspomniał coś o jej migrenie i o tem, że sama dziecko karmi, poczem zajął stanowisko naprzeciw toastującego. Wszyscy przybrali miny oficjalne.

Marszałek, słynny orator, okiem trybuna objął całe zgromadzenie, pokręcił węża, chrząknął i z namaszczeniem zaczął. Na wstępie zaznaczył niezaprzeczalny, a nader doniosły fakt, iż od Adama i Ewy ludzie wciąż się mnożą; w fakcie tym mówca dopatruje się rękojmi wieczystości rodzaju ludzkiego wogóle, a familii Zimowieckich w szczególności. A rodzina to zacna i słynna! Mówią o niej kroniki stare, mówią i dzieje nasze ostatnie. Nieodrodny syn swoich przodków, szanowny gospodarz domu, zapisał swe imię także, jeżeli nie na kartach dziejów powszechnych, to z pe-

wnością w sercach wszystkich, co mają szczęście znać go osobiście...

Między zgromadzonymi poruszenie i brawa.

— Uwiecznił on swe imię — ciągnął dalej marszałek donośnym głosem, aby być słyszany w gronie pań sąsiedniego pokoju — na polu życia domowego, w świątyni życia rodzinnego! A niwa to święta, wzniosła! Dziś, kiedy pole chwały i poświęceń dla naszego narodu już nie istnieje, to tylko na tem ostatniem możemy dawać dowody żywotności, rozumu i zasług obywatelskich, na niem kwitną bowiem młode pokolenia, to jest kwiat narodu, nadzieja naszej przyszłości.

Głośnie, żywe oklaski.

— Otóż — kończył mówca z zapalem, który widocznie udzielił się całemu zebraniu — dzisiaj, w chwili tak uroczystej, przejęty faktem tak ważnym, wzruszony uwieńczeniem szczęścia rodzinnego jednym nadobnym kwiatem więcej — niech mi będzie wolno wzniesć toast na cześć przezacnego domu Zimowieckich. Panowie! piję na cześć i zdrowie czcigodnej pani domu, u której nie wiemy, co więcej podziwiać: cnotę, czy urodę; piję na cześć godnego jej małżonka, reprezentanta cichej zasługi i świętych, fundamentalnych zasad naszego życia... Zdrowie domu Zimowieckich — *vivat, floreat, crescat, multiplicat!*

Złotousty skończył. Biesiadnicy hałaśliwie zaczęli się trącać, gospodarz, który bezustannie zaczerwienionemi mrugał powieki, podszedł ku marszałkowi — wtem zaszło na sali coś nadzwyczajnego.

Przed panem Kazimierzem stanęła młoda kobieta, wysoka i o szerokich barkach, bosa, w brudnej, zielonej spódnicy i «rozchłestanej» koszuli; włosy rozczochrane, twarz czerwona, oczy świecące wskazywały, że jest mocno wzruszona lub pijana. Czepka nie miała, jak «mołodycia», na rękach trzymała jednak drobne, wątle, ziemistej barwy dziecię w zamurdzanej koszulinie, które oczy wytrzeszczało na zgromadzonych.

Przyskoczyła do Zimowieckiego, rzuciła gwałtownie na stół dziecko i wskazując na nie, głośnym, urywanym tonem zawołała :

— Ano, ot i macie go, *jelmożny* panie! Cemuż i jego *krzcić* nie dajecie? ha? Dlaczegoż i jemu balów nie sprawiacie? Toż i to *synok* wasz! *Weźnij go, weźnij sobi, ty rozpuśniku, zdrajco, ladaszczo!*

Zjawienie się nagle, ten wybuch przekleństw bezpośrednio po toaście wyrwały z piersi gości okrzyk, poczem na kilka sekund zapanowała głucho cisza.

Dzieciak, na stół rzucony, pierwszy się ozwał głośnym płaczem.

— Co to jest? co się stało? — zaczęto wołać z drugiego pokoju i panie wystrojone wleciały spiesźnie.

— Co się stało? — zawołała, stanąwszy na progu pani Zimowiecka.

— Co się stało, co się stało! — krzyknęła napastnica, obróciwszy się do nich z pałającym wzrokiem, jedną ręką przytrzymując rzucające się, jak ryba, dziecko, a drugą w górę podnosząc. — Krzywdy swojej *przyjszłam* się upomnieć! Zhańbił mnie, *pokinoł* i świat *zamknoł*, a *tera* ja sama *sirota*, z tym robaczkiem *bidnym*... O ja nieszczęśliwa, matko najświętsza! Ja... ja... — zanosiła się od konwulsyjnego płaczu.

— Maryśka!

Głos ten pani Zimowieckiej przeszył wszystkich. Oczy skierowały się ku drzwiom. W ramach drzwi stała smukła, wiotka, z ciałem naprzód podanem, a oczy z wyrazem osłupienia tkwiły w szczupłej i kredowej jej twarzy; w wargach rozwartych ni kropli krwi nie miała. Prosty, muślinowy penioar, koronkami obsyty ślicznie uwydatniał elastyczną, topolą jej figurę.

Grube rysy Maryśki skurczyły się.

— Pani! — zawołała — i ty *bidna*, i ty nie-

szczęśliwa... Ty gołąbka, pani, a *un kryminalnik*,
un... bez to... *un* ciebie nie *warty*, pani...

Pan Kazimierz przyszedł do siebie.

Przy pierwszym wykrzyku -- zdretniał był w niemem przerażeniu. Dokoła biesiadnicy, we frakach, z kielichami w podniesionych dłoniach, jedni wlepili wzrok w mieniącą się bólem lub błyskającą z gniewu zębami twarz napastnicy; drudzy ze zdumieniem nieprzytomnem, w Zimowieckiego. Brzęk szklanki, straconej nogą wijącego się dzieciaka i skomlenie jego obudziły wszystkich.

Oblicze Kazimierza miało cerę oliwkową. Poruszył kilkakrotnie ustami, poczem tupnął nogą i tak odzyskał mowę. Z pasyą krzyknął:

— Bałwany jakież, czemuście ją tu puścili, draby przeklęte!

— Pijane babsko, czy wściekle — dodał ciszej kłapiąc zębami, ku gościom.

Dwóch sługusów przyskoczyło; goście odstawili nietknięte szklanki.

— *Ma-mu, maa-mu, ma-mu!* — zaczął malec skrzeczącym głosem drzeć się z całych sił, a łzy grube spływały mu po szarej twarzyczce.

— Zabrać to szczenię! — krzyknął Kazimierz.
— Szalona, pijana bestya...

Maryśka uchwyciła dziecko, a drugą ręką przykuła się do stołu.

— Nieprawda! — wołała. *Breszysz*, sam *ta-kij breszysz...* Matko najświętsza... panowie łaskawi! krzyczała, wrywając się z rąk służących. — Nie dajcie *ta* krzywdzić *bidnej siroty...* To *mniej-cie* Boga w sercu! Ja uczciwa była *dziwczyna...* służyłam *tutka...* *un* mnie raz *chycił...* *Zdurzył* mnie, pohańbił...

Zaczęła się rozpaczliwie szamotać.

Obecni zbili się wokoło w tłum gęsty; z tyłu stawały panie na palcach, by lepiej patrzeć na widowisko. Błyskawicowo mieniającym się scenom towarzyszyły urywane wykrzyki:

— To ci hołota ta służba.

— Biedna dziewczyna... — szepnął głos kobiety.

— Pijana szelma, kłamstwo... potwarz... — wołał Zimowiecki, ale głos jego został zagłuszony okrzykiem.

— Na miłość boską! ratujcież panią Zimowiecką!

Tłum rozprysnął się, jak przed kartaczem, kilka kobiet dźwignęło omdlałą na progu panią domu. Lokaje borykali się z Maryską, która umilkła, a lament dziecięcia górował nad zgieł-

kiem powszechnym. Przy drzwiach ścisk, hałas
niemiłosierny.

— Strach...

— Wstyd...

— Skandal...

— To ci Kazik w łeb wzięł...

Nad wszystkimi temi głosami wzniosło się
wołanie «doktora!» i przeraźliwy brzęk zastawy
stołowej. To Maryśka, szarpana, pociągnęła za
obrus.

Po gruzach — goście śpiesznie się przemknęli.





II

Pani Jadwiga Zimowiecka prędko przyszła do siebie. Odetchnęła kilka razy głęboko, aby tchu zaczerpnąć, podniosła się z szeslongu i wyciągnęła ręce przed siebie.

— Dzieci... dzieci moje! — zawołała.

Uchwyciła za rękę półtoraroczne chłopię, które dotąd trzymało się jej sukni, patrząc wokoło przelęknionemi oczętami.

Pan Kazimierz przerwał gwałtowny swój marsz po pokoju.

— Ależ Jadwiniu — wyrzekł tonem, który drżał strasznie zdenerwowaniem. — Opamiętaj się duszko.

Do białej jej twarzy krew uderzyła. Podniosła się i padła napowrót w fotel.

— Nędzny, nędzny! — szepnęła.

Ścieła usta, bo z piersi jej łyzy i krzyki rwały się i gardło dławily.

— Ależ...

Uczuła, że znowu runie.

— Dosyć, dosyć tego, zawołała, chwytając się za głowę, jakby dla obrony jej od pocisków. Lecz zaraz zmieniła się.

— Wszystko między nami skończone, wszystko! — wyrzekła, prostując się i siląc na spokój, co jej głosowi nadawało dźwięk ostry i stanowczy, jakby krótkiego rozkazu. — Znamy się aż nadto... do syta, do syta mam teraz wszystkiego! Nie! — miarka się przebrała... Albo ja, albo ty... jedno z nas ustąpić stąd musi... na zawsze!..

Wpadła do sypialni z dzieckiem na rękach. Gorączkowo zamknęła drzwi za sobą, przybiegła do łóżka, gdzie spało niemowlę i padła wyczerpana na kolana. Oparła na brzegu łoża głowę w obu dłoniach, szepcąc bezwiednie:

— Boże, Boże, Boże!.. — i wybuchła płaczem wielkim, jakby strumieniem krwi z głębokiej rany.

Obudziło ją szarpnięcie za suknię, mały Oles opasał jej szyję.

— Mamusiu, mamusiu! — wołał ze łzami w oczach.

— Ach! — jęknęła i powstała.

Kurcz przeszedł po jej twarzy, lecz nawpół nieprzytomne oczy przeobraziły swe błyski na wyraz miłości gorącej, bez granic.

— Ty się boisz, pieszczošku? — przemówiła łagodnym, miękkim głosem i przycisnęła dziecko namiętnie do piersi. — Nie bój się aniołku. Mama ciebie kocha, mama Olesia bardzo kocha...

Ostatnie «bardzo» wymówiła przeciągłym, dziecięcym głosem, tak jak Oleś się zawsze wysławiał i próbowała uśmiechnąć się do niego po dawnemu.

Ciężko jednak. Jak strzała, co tkwi w piersi, za każdym ruchem ciała targa serce, tak ból Jadvigi po każdym słowie rozlewa się i oddech tamuje.

— Haniu! — zawołała.

— Olesia można do snu ułożyć — wyrzekła do kobiety, która weszła z drugiego pokoju, — a gdyby Stefka się zbudziła, dasz mnie znać. Do mego pokoju nikogo nie wpuszcząć.

W swoim buduarze zachwiała się; przed oczyma światło w dziwne kręgi i tęcze zaczęło się łamać, a nogi drżały.

Wyciągając ręce przed siebie, jak w ciemności, dostała flakonik.

Silna woda kolońska ją ocuciła. Rzuciła się na szezlong, rozpinając penioar.

— Poco się ratować, poco przytomność umysłu? Paść teraz, — zasnąć — i nie zbudzić się więcej... nigdy...

— Nie! — zawołała głośno. — Będę żyła! teraz dopiero dla mnie życie się zaczyna...

Zdawała się powoli uspakajać, ale ostrze ciśnięte w pierś niedawno, zagłębiało się coraz bardziej.

— Do tego doszło... — szepce spiekłemi wargami, a łzy mimowoli po twarzy jej spływają. — Koniec więc tragikomedyi... w hańbie... upodleniu... przekleństwie...

Zerwała się z szezlongu. Młoda, blada jej twarz zmieniała się do niepoznania; chwilami kurcz lub fala krwi ją przebiega, to znów martwieje, świecąc tylko szklanemi oczyma.

— I to teraz... Cóż mi zresztą po różnicy w czasie? Ale już hańby taić nie można będzie, już kres nadszedł...

Załamala ręce, aż chrzęst się rozległ.

— I co, co tu począć?

Z portretu nad elegancko rzeźbionem biurkiem spojrzęło na nią dwoje zimnych, surowych oczu i sztywna głowa, wtłoczona w złoty mundur urzędniczy.

Jadwiga stanęła przed niem.

— Oto, ojcze, moje szczęście, oto twoja córka. Strasznie, strasznie-ś sobie ze mną postąpił.

Po chwili wzdrynęła się cała.

— Sama przecie tego chciałam! Nie byłam dzieckiem, miałam wolę własną... Sama-m temu winna... sama...

Pograżyła się w fotelu, a przeciągłe z głębi serca łkanie powoli padało na piekący ją żar.

Pozostała tak długo. Ciało, niezmiernie osłabione, uległo nawałowi wzruszeń; bezwładnie spoczęło na miękkim fotelu. Gorąco, parność w pokoju i łzy umorzyły zbolałą jej głowę. Powoli ogarnia ją pewne znieczulenie, oddech jej staje się krótkim, urywanym. Jadwiga zapada w rodzaj półsnu.

W umyśle zaciera się świadomość; zachodzi mgłą i zapełnia się rojami reminiscencyj i fantazyj.

Znajduje się znowu w domu ojca. Dom ogromny i ogromnie smutny. W sypialni łoże boleści — z niego matka nie podnosi się od lat sześciu. Biedna, nieszczęśliwa matka, — jak ona cierpi! Więcej jednak, niż bole własne, więcej, niż życie całe, obchodzi ją Jadwisia. W niej zogniskowała chora wszystkie swe siły, wszystką miłość serca

nieszczęśliwego. Nie może z nią się rozstać, zazdrosna nawet o szkołę, o bonę.

I Jadwinia szkół nie poznała, ani normalnych warunków życia. Dyrygowała guwernantkami, ojcem, domem całym; rozpieszczona, rozkapryszona, nie знаła żadnej woli, prócz chwilowego grymasu, żadnego obowiązku, prócz swej przyjemności.

Tak do piętnastego roku życia — do zgonu matki. Cios ten skruszył całą dotychczasową jej istotę — na krótko. Z rozpaczy i żałoby, gwałtownej, jak wszystko w namiętnym jej charakterze, Jadzia zbudziła się panną Jadwigą. Ciocia wprowadziła ją w świat, aby tam znaleźć lekarstwo na trawiący ją smutek, a niebawem zabrzmiał świat ten przez szept najdystyngowańszej młodzieży, przez usta wszystkich pań poważnych:

— Jaka ty piękna, piękna, piękna...

Za kilka miesięcy była Jadwiga najmodniejszą ozdobą kilku bogatych salonów, bohaterką sezonu. Przyzwyczała się do hołdów, do panowania, do rozkoszy.

W ciasnem kółku, gdzie się obracała, nikt bez uśmiechu, nikt bez komplementu, nikt bez projektu przyjemności do niej nie przystępował.

Jeden tylko ojciec, stary, zgryźliwy biurokrata, nie przestawał nazywać ją cyganką, dziwolągiem, i prawil jej długie kazania, których ona najczę-

ściej nierozumiała. On bo innym wręcz był człowiekiem; spolszczony Niemiec w austriackim mundurze, mieszanina filozofa, karyerowicza i filistra, bez religii i ideałów, nie cierpiał przedewszystkiem ekstrawagancyi i namiętności, co było głównym rysem charakteru córki. Charakter ten mogła mieć w dziedzictwie po szalonych szlacheicach sanockich ze strony matki i wskutek bezgranicznej swobody za jej życia, niekrępowanej nawet wpływami religijnymi, od których daleką była chora, konająca w powolnych mękach, a rozgoryczona na Boga za to, iż w zamian za dobre uczynki i tysiące modlitw nie dawał jej zdrowia.

— Ta dziewczyna nie ma za grosz rozumu ni praktyczności — narzekał stary radca. Postanowił talenta te w nią koniecznie wpoić i przybrał do pomocy poleconego sobie akademika, powierzwszy mu obowiązki nauczyciela historyi, literatury i innych umiejętności.

Panna Jadwiga przyjęła go pogardliwie. Z uśmiechem politowania patrzyła na czarne jego włosy, spadające w romantycznych puklach na wyszarzany kołnierz, na niezgrabne jego ruchy, na niepoprawne — poprostu «niemożliwe» maniery. Zmieszała się jednak pod silnym, czystym promieniem jego oczu, wstrząsnęła na metaliczny dźwięk

głosu. Gdy zasiadł do stolika, szorstkim gestem odrzucił jej dawniejsze „wypisy“ i sam zaczął z pamięci wykladać, dyktować, — było w nim coś tak nowego, interesującego, że Jadwiga z wielką ciekawością zaczęła go słuchać. Ciekawość potężniała z dniem każdym. To, co mówił, było o całe piekło różnem od wszystkiego, czego nauczycielki dotąd uczyły. O sto piekieł!.. Postacie, uważane przez nie, jako dyabły, przedstawiał on, jako anioły; idee, przez nie czczone, ośmieszał on i druzgotał, na całe życie swej uczennicy rzucał gromy i ognie tęczowe... Każda lekcya była dla niej niezmierną sensacją.

Gorącemi słowy, jak barwami, kreślił jej historya. Jadwiga wyraźnie widziała przed sobą potężne osobistości i wielkie wypadki, epopee całe. Uczuła tętno, puls swojego narodu, wsłuchiła się w jego bicie, zapłonęła jego oddechem. Rozpłomienionemi oczyma patrzyła na nauczyciela, zawisała na jego ustach...

Innym razem mówił o nauce. Wskazał na myśl, jako na jedyną różnicę między człowiekiem, a innemi zwierzętami... wskazał na mistrzów myśli, którzy jedyni świat dźwignęli z barbarzy, wstrzymali słońca, poruszyli ziemię, podbili człowiekowi całą naturę, a teraz przypinają mu skrzydła...

Dziwnym, odmiennym jakimś wzrokiem patrzył na wszystko i wszystkich. Ten, co dla niej był dotąd brudnym, wstrętnym biedakiem, przedstawił się jej nagle jako człowiek, mający również prawo do równości i szczęścia, a co więcej, mający tysiące braci, walczących dla zdobycia tej równości i szczęśliwości... A człowiekiem szlachetnym tylko ten, który bodaj z własnego ciała robi szczebel dla wyższego wzniesienia się ludzkości...

Co się stało z Jadwigą, że przestała śmiać się z niezręcznych ukłonów i szkaradnej toalety pana Teofila? Co zaszło w niej, że drżała przed godziną lekcyi, że zamykała się po jej ukończeniu, że i w nocy, nie mogąc zasnąć, słyszała wyraźnie czysty, metaliczny głos nauczyciela? Co — nie wiedziała, ale po upływie kilku tygodni uczuła się całkiem inną. Świeże, potężne siły, drzeмиące dotąd w jej duchu, obudziły się, uczuła popęd do nauki, do rozmyślań, do wyższego rozwoju. Słowa pana Teofila, a może i jego charakter, i jego aspiracye, a może coś więcej w nim: urok, którego jasno poznać, określić nie mogła — o władnęły ją zupełnie, stały się niejako zwierciadłem, w którym dostrzegła rysy własnego oblicza potwornie skrzywione, a postać swą — bardzo, bardzo małą i lichą.

Ból i wstyd miotały nią, upokorzenie paliło...

Pogardzała swą przeszłością, płakała godzinami na grobie matki, odrzuciła cały transport toalet i kosztowności, jakimi ciocia ją obdarzyła. Zabrała się natomiast do nauki, do lektury, z tym samym gorączkowym zapalem, co ongi do pustoty lub zabaw.

— Oho! — sarknął radca — Znowu egzaltacja... —

Słowo to było u starego biurokraty synonimem wszelkiego zła; zaczął więc bacznie obserwować córkę i przestraszył się.

Pewnego dnia oznajmił, że pan Zahradnik więcej nie będzie jej lekcyj udzielał.

Rzuciła się, jak za uderzeniem prądu elektrycznego.

— Czemu?

— Bo to być nie może...

— A ja ojcu powiadam — wybuchła z całą bezwzględnością despotki, a może porwana falą świadomości, która nagle w niej wezbrała, — że pana Teofila Kocham!

— Wiem o tem, dziecko nieszczęsne — odparł radca po obgryzieniu końca obfitego wąsa.

— Ale...

— Co za ale? Ojciec chcesz zapewne mówić o różnicach socyalnych, pieniężnych?

— Nie. Ale pan Zahradnik wydalil się wczoraj ze Lwowa... zdefraudowawszy kasę towarzystwa akademickiego, gdzie był skarbnikiem.

W trzy kwartały po tem zajściu odbył się ślub panny Jadwigi z panem Kazimierzem Zimowickim.

Zapytana nie mogłaby powiedzieć, jakim człowiekiem był narzeczony — jakich ona doznaje względem niego uczuć — w jaki sposób zaszła na kobierzec ślubny. To pewna, że życie w trzeciorzędnem mieście prowincjonalnem, dokąd radca został przeniesiony, było dla dziewiętnastoletniej Jadwigi rozpaczliwem; straszno jej było w samotności z własnymi myślami i rozpamiętywaniem, straszno — w towarzystwie próżnych, nadętych drobnostkową zawiścią, komerażami i ambicyjami dam miejscowych. A w domu ojciec z każdym dniem tetryczał, stawał się coraz przykrzejszym. Wówczas zjawił się pan Zimowicki, dziedzic pięknej wioski okolicznej, i dwa razy odrzucony, po raz trzeci się oświadczył. Jadwiga, udręczona, zdenerwowana przez ojca, chcąc uciec przed własnymi myślami, powtarzając: życie nie jest idyllą, a dla mnie nic nie pozostaje na świecie prócz obowiązków — wyszła za mąż...

Przed oczyma stanął jej Teofil.

— A może... może i teraz nie jest on mi obojętnym? — pytała z przestraczem.

Naturalnie, myśli o nim, często nawet, lecz z pogardą, nienawiścią. Gdyby była miała więcej znajomości serca, byłaby wiedziała, że gorąca ta nienawiść, to tylko inna forma nieprzewyciężonego ku Teofilowi pociągu, żyjącego w niej uczucia, które rozpacza, iż nie może miłością się nazywać. Ona sprawy z tego sobie nie zdawała, żyła i postępowała, jak w półśnie, a zbudziła się — niewolną!

Odbyła podróż poślubną nie na skrzydłach pary, lecz na rękach męża. Waryował za nią, a od niej wymagał tylko szacunku.

— Z czasem przyjdzie i przywiązanie — powtarzał.

A ona ślubowała być ideałem żony. Trudno to z początku, zwłaszcza gdy mąż o ośmnaście lat starszy i nie umie zdobywać żony. Nie sztuka złowić naiwną dziewczynę, sztuką — w dłuższem pożyciu podbić sobie małżonkę. Dzielność charakteru, inteligencya, wogóle siła jakaś wyższa potrzebniejszą jest w małżeństwie mężczyźnie, niż kobiecie piękność. Za ich brak żona może mężem pogardzić, a nigdy mąż nią za brak urody. Jadwiga była jednak przejęta najsurowszemi pojęciami o obowiązkach swoich, a na razie żyła

więcej wrażeniami z podróży, pięknem krajobrazów, tchnieniem arcydzieł sztuki, myślami, jakimi ją owionęły miasta wielkie, aniżeli — mężem.

Osiadłszy na wsi — nie mogła uczuć się panią domu. Nie przemawiał do niej, nie związywał się z nią. Oddychała powietrzem jego i zaraz je zwracała, strzepywała kurz jego ze stóp i czuła się tu obcą. Wówczas zaczęła gorzkie robić sobie wyrzuty. Gwałtem przewycięzała się, garnęła do męża, próbowała odkryć w nim rozum, aspiracje szersze, serce, jakąkolwiek kolumnę, naokoło której mogłaby, jak bluszcz się owinać... Było to potrzebą targanej sprzecznościami, upadającej pod naciskiem bólu duszy kobiecej. Ale mąż jedną tylko znał miłość. Porywał żonę w objęcia.

— Dziecko z ciebie, duże dziecko! — powtarzał z uśmiechem na grubych wargach. — Cóż tobie śni się? Romantyczne bohaterstwa, rola na wielkim świecie, ofiary, publiczne sielanki. Czyż nam tak niedobrze?

Tu sadzał ją gwałtem na swe kolana. Była to ulubiona jego pozycja.

— Widzisz, — mówił. — Na cóż nam te mrzonki i donkiszoterskie wyprawy? Dzięki Bogu nie jestem ambitny, ty mi całkiem wystarczy. Co, duszko? Pali ci się w główce, roisz

o koszałkach-opałkach... Czyż ja cię nie ubóstwiam? czy miłość moja ci nie wystarcza?

Uściski jego stały jej się wstrętnymi.

Spróbowała tedy przerwycić się do innej sfery, wyzuć się z egoizmu, zająć się losem biednych i nieszczęśliwych, którzy w jej wiosce się znajdowali. Stało się, co stać się musiało; mąż wyśmiewał jej misye apostolskie, a chłop, z którym ona porozumieć się nawet w ruskiej jego mowie nie mogła, rozczarował ją w bardzo krótkim czasie. Załamała więc ręce w rozpacz. Darmo czepiała się myślą przeszłości — stamtąd spoglądało na nią widmo straszne; darmo nateżala wzrok za jasnym punktem w dniu dzisiejszym... miała przy sobie innego, ktorego nietylko szanować, ale i obawiać się nie mogła.

— Podły, nędzny ten świat! — konkludowała. — Komuż wierzyć? dla kogo żyć?

Dla siebie nie mogła — korzenie jej duszy w innym tkwiły gruncie.

Pewnego dnia wyczytała w gazecie następującą notatkę: «P. Teofil Zahradnik, suplent gimnazyalny, otrzymał na uniwersytecie krakowskim stopień doktora filozofii.»

Rozogniona przybiegła do bawiącego u niej ojca:

— Patrz!

Stary wzruszył ramionami.

— A więc twa opowieść o sprzeniewierzeniu?...

— Była widocznie podszeptana przez ducha świętego — odrzekł radca jowialnie — gdyż inaczej byłabyś palnęła kolosalne głupstwo i nie doszła do dzisiejszego szczęścia.

— Burzliwa, namiętna natura, trzymana dotąd na wodzy, wybuchła w Jadwidze.

— Oszukana, zaprzędana!

Jak raniona, miotła się i wiała w bolach. Poznana ze straszną świadomością, iż pierwsza jej miłość nie spopieliała, a świadomość ta wstydem, zalem rozpaczliwym, katuszą sumienia ją napełniała.

Dziki ten koncert uczuć został zagłuszony przez głos dziecka. Przyszło i pogodziło matkę z życiem. Nie miała już prawa żyć dla siebie, ni rozporządzać swą osobą. Głęboko ukryła w sercu mogiły, w których zakopała święte wspomnienia młodości i szacunek dla ojca, wypogodziła twarz, podała rękę mężowi.

Niedługo trwał i ten stan. Ona nie mogła się dostroić do jego tonu, a on odczuł, co się w niej dzieje; odczuł, i jak każdy mały człowiek, zaczął się buntować. Trywialny, płaski charakter — nie mógł wznieść się do wyżyny jej ducha — upokarzał go i denerwował przedział, jaki między sobą

a nią dostrzegał. Był obok niej — a przecie tak daleko! W jej sercu tyle strun subtelnie i szlachetnie brzmiało — w nim tylko brutalna gra zmysłów; głowa jej spoczywała na tej samej, co jego, poduszce, ale on widział w nocy oczy jej świecące, słyszał z ust jej słowa mimowolne, dziwne, przeczuwał w niej coś niezwyklego, a sobie wręcz obcego. Śmiał się głośno, szyderczo, rzucał płaskie dowcipy, lecz żona pozbywała go miłczeniem.. Stawał się przeto coraz bardziej rozdrażnionym, gwałtowniejszym. Kochał ją silnie, po swojemu, jak zdrowe i syte zwierzę kocha samicę, która je opętała, ale Jadwiga była czemś wyższem. Do wściekłości doprowadzała go jej łagodność, i spokój, i chłód surowy; przeczuł pod nim lekceważenie, może wzgardę. Jadwiga przygniotła go kompletnie, a on ją znienawidził i równocześnie roznamiętniał się. Ciężko pokutowała młoda małżonka za błąd popełniony. A przed jaką stała przyszłością! Wiele sprzecznych myśli i uczuć przeciągało wówczas, jak huragany, po niej, niszcząc ją, pustosząc. Ale z kolebki świeciły oczęta synka. Dla niego pozbyła się z całą świadomością ostatniego swego skarbu — czystości serca. Nie mogła dopuścić do rozluźnienia, do stargania wszystkich węzłów małżeńskich; obawiała się czegoś strasz-

nego, gdy mąż odtrącony i rozszalały, popuści cugli wszystkim swym instynktom. Nie kochając go więc, odrazę czując do niego, oddała mu się po raz ostatni i porodziła córkę.

Tak ciężką pogardę, tak bezbrzeżną nienawiść czuła ku sobie samej, że łoż już nawet dla siebie nie miała. Wierzyła atoli, że dzieci uratuje.

Dzisiejsze zajście roztrzaskało w drzazgi ostatki jej sił, zdruzgotało i most, po którym «one» mogłyby w świat pójść. Jadwiga straciła władzę rozumowania; czuje tylko, czuje, że wszystkie lepsze pierwiastki jej duszy krwawią się, kurczą z bólu, ze zgrozy, z krzykiem ohydy i protestu przeciw męczarniom, jakim je dotąd podawała...





III

Jak długo to obezwładnienie trwało, nie mogłaby powiedzieć. Na torturach katowani wpadali niejednokrotnie w sen kamienny; i ona siedziała nieruchomo, z rękoma na kolanach, a usta poruszały jej się chwilami, to dreszcz po całym przeszedł jej ciele. Było to wynikiem nadzwyczajnego osłabienia fizycznego i halucynacyj fantastycznych. Przeszłość krótka, a tak bogata, przeciągnęła jej przed oczyma, jak procesya widm, ta przeszłość, która rozpoczęła farsą, prędko przybrała zakrój dramatyczny, zakończony fajerkowym efektem, a obecnie wchodzi w dziedzinę tragedyi.

Echa tragedyi rozprószyły się w jednej chwili, gdy z drugiego pokoju dało się słyszeć ciche kwi-

lenie dziecięce. ■ Jadwiga zerwała się. Teraz dopiero uczuła, że na nogach utrzymać się nie może, że cała w gorączce.

Musiała atoli wielką posiadać moc panowania nad sobą; obmyła twarz pośpiesznie zimną wodą, aby nie użyć środków aromatycznych, które mogłyby uderzyć niemowlę, poczem, niezmiernie blada, tą bladością, która powiększa oczy i żółty cień rzuca na wargi, lecz wyprostowana i spokojna, weszła do dzieci. Mimochodem poprawiła kołderkę na śpiącym Olesiu i wzięła na ręce poduszkę, z której, otoczona koronkami, wyglądała różowa twarzyczka Stefki.

Łzy znowu do oczu zaczęły jej się cisnąć. Połknęła je i uśmiechając się łagodnie dała dziecku pierś, kołysząc je równocześnie lekko. Wykwintna, piękna, dumna pani, kobieta targana szalonymi bólami znikła wobec matki, która wraz z mlekiem własnem radaby była duszę całą, życie całe przelać w maluchną tę istotę.

Pukanie silne dało się słyszeć.

— Proszę otworzyć!

Był to głos Kazimierza.

Jadwiga wzdrygnęła się. Zapięła się prędko, jak dziewczę, spłoszone przy toalecie i kazała służącej opuścić pokój.

Kazimierz przeszedł się kilkakrotnie, spoglądając na nią z ukosa.

— A przecie — zaczął niepewnym głosem — nonsens to poprostu, żeś się napała sama dziecko karmić. Słowo honoru, zrozumieć cię nie mogę. Toż to cię zrukuje...

A czując utkwiony w siebie magnetyczny wzrok żony, odwrócił się ku oknu.

-- Ba, — dodał — alboż myślisz że twój pokarm dziecku wystarcza ?

Dziwnego uczucia doznawała teraz Jadwiga. Rumieniec przepłynął po jej twarzy, rumieniec wstydu i gniewu, że ten człowiek stoi w jej sypialni i brutalnie obraża ją.

— Przejdźmy do drugiego pokoju, — wyrzekła — bo dzieci śpią.

Oparła się o biórko, oko w oko z Kazimierzem.

— I cóż ty na to zajście ?

Głos jej był całkiem równy, spokojny. Nie tego Kazimierz się spodziewał. Przygotował się na atak spazmów lub gorzkich wyrzutów; teraz zdało mu się, iż żona pono trzeźwo, rozsądnie bierze rzecz całą, i odparł z możliwą swobodą:

— Hm... o tej napastnicy mówisz? Nikt przecie pijanej tej kobiety nie brał na seryo. To

głupstwo. Dziś jeszcze pomówię z burmistrzem, a on ją szupasem stąd wyekspeduje.

Jadwigę sztuczny chłód zaczął opuszczać.

— I w ten łatwy sposób zmażesz naszą hańbę? W ten sposób zwrócisz szacunek naszemu domowi... przywrócisz spokój w rodzinie?

— Ależ Jadziu... — Kazimierz brwi ściągnął i zaczął skubać popielate bokobrody. — To fałsz... oszczerstwo...

— Tak? A ja znam tę dziewczynę... Pamiętam... nalegałeś by ją odprawić. To uczciwa była dziewczyna... takich zarzutów nie wyssała sobie z palca... Tak nisko upaść... do tego stopnia...

— Ależ duszko...

— Tylko bez czułości, panie...

Te słowa zdenerwowały Zimowieckiego więcej, niż całe zajście poranne. Odczuł nieutajony wstręt, wiejący z nich, a to złączyło się z gniewem, z potrzebą zemsty, kotłującą w nim od kilku godzin.

— A więc czego chcesz do stukroć kaduków? — krzyknął w uniesieniu, a zielone oczy błysnęły mu, jak u kota. — Dyabli nanieśli biedę, stało się i już się nie odstanie. Czy mam starać się o rehabilitację honoru ze strony tej dziewczki?

— Czego chcę? czego ja chcę? — odparła

przytłumionym głosem, wyprostowawszy wyniosłą swą kibić i mierząc go czarnemi oczyma, w których zapal i energia wrzały. — Chcę panu powiedzieć, że między nami wszystko skończone, że gotowa jestem do wszelkich kroków, do najostateczniejszych środków, aby związek nasz zerwać...

Kazimierz stanął, jak przygwożdżony.

Nigdy, w chwili najczarniejszego pesymizmu, taka możliwość przed oczyma mu nie stawała, a w tej chwili wstrząsnęła nim tak silnie, że ochłonał, przetarł oczy i spojrzał na żonę. Czy to być może? Ona to wypowiedziała? Ją — miałby stracić? Ej, babskie gadanie...

Od trzech lat był do niej tak przyzwyczajony, jak od czterdziestu lat do miękkiej pościeli i dobrego obiadu. A teraz... nie! Ją stracić? Tę kobietę, która jedyna wśród setek w ostatnich dwudziestu latach, nie tylko go nie znudziła, nie tylko nie sprzykrzyła mu się, ale z każdym dniem, mimo ekscentryczności swego charakteru i świętoszkostwa, stawała mu się droższą, ukochańszą... Z nią się rozstać? Widział ją po raz pierwszy przed czterema laty, gdy znudzony i zmęczony, wrócił z kilkoletniego pobytu za granicą. Tam wałęsał się od dwudziestego roku życia. Służył potrosze w armii, hodował konie wyścigowe,

zwiedzał najwyuzdańsze zakątki wszystkich stolic, pół majątku przetopił na prezenta dla kokotek wszystkich narodowości i stopni, a każdą odrzucał po miesiącach jak cytrynę. Ona jedna tylko — ktoby przypuszczał: żona! — wzięła go dotąd; w niej — ha, ha! we własnej żonie! — był zaślepiony, jak w pierwszych czasach poznania, kiedy zapłonął do niej szaloną pasyą, żądzą nieposkromioną... I teraz...

To się nie stanie, to być nie może! Czyż dużo razy ponosił on klęski, przegrywał stawki? Od dzieciństwa zaspakajał wszystkie swe zachcianki, od lat młodzieńczych odmyka złotym kluczem wszelkie drzwi, co mu przeszkadzały po wędrówkach od jednej rozkoszy do drugiej; a od czegóż — spryt, rozum! Wszystko dobre, aby klęski nie ponosić! Ażeby „ją“ zdobyć, do jakichże środków się nie uciekał! Przegrywał do starego radcy grube sumy, z córką grał adonisa, potem sensata, bo i ona niebieską pończoszkę grała. Prawił, jak książka... o młodości smutnej, burzliwej... o nieszczęśliwym losie, który go dotąd wzięił za granicami biednej ojczyzny... o zachodzie postępowym, bogatym, potężnym — i o smutnym naszym kraju... Nocami całemi studyował Baedeckera, aby mózdz opowiadać o wiecznem mieście i Alpach, o akademii nieśmier-

telnych i o galeryach... A przecież cel został osiągnięty! Kosztem wielkim, — lecz osiągnięty! Dziś... dzisiaj... Jadwigę utracić.. ?

— Tyś rozgorączkowana, Jadziu -- szepnęła. — Uspokój się, przyjdź do siebie trochę. Z pewnością — ta awantura rzecz przykra, ale tak egzaltować się znowu nie powinnaś...

— Nie egzaltuję się też, jestem chłodna i spokojna — odrzekła z gorzkim uśmiechem. — I owszem, mów pan także chłodno i spokojnie... Cobyś pan zrobił, gdyby jakiś mężczyzna cisnął mnie w twarz ten zarzut, co panu ta kobieta ?

Z wlepionym w mówiącą wzrokiem stanął Kazimierz. Uniesienie i gniew znikły z jego oblicza, odbiło się na niem tylko zdumienie, zdumienie niewysłowione.

— Widzisz pan — ciągnęła dalej. — Stawiam kwestyą tak, jak każdy uczciwy człowiek stawiać ją powinien. Wyszłam za pana dobrowolnie i przysięgam sobie być wierną swoim obowiązkom. Prawda, innym byłeś przedtem w masce... Jakżeż mogłam tak dalece się ludzić... Byłam pod względem znajomości świata wielkiem dzieckiem — ale dojrzałam... Poznałam w jednym roku wszystko, i sztukę polowania na żonę, i kłamstwo i obłudę... W co się obróciły te talenty i projekty i ideały, o jakich pan da-

wniej prawileś? W co się obróciły twoje przyrzeczenia, obowiązki? Czyś myślał choć raz o nich, o tych warunkach naszego kontraktu ślubnego? Nie to jednak... Nie kłamałam panu nigdy miłości, nie marzyłam o szczęściu dla siebie... Lecz od-tąd, od tej chwili... ani dnia dłużej, ani jednej nocy pod jednym dachem... Uwolniłeś mnie pan od wszystkiego... od wszystkiego!

Wypowiedziała to urywanym głosem, drżąc mocno, a na twarzy gorączkowe zabłyśły jej wy-pieki.

— I mówmy otwarcie — dodała. — Wszak z tem życzeniem, choć nie z jednakich pobudek, spotykamy się oboje w połowie drogi. Musiałeś pan przecie oddawna uznać, że my nie dla siebie.

Kazimierz przechadzał się po pokoju z założo-nemi rękami i szeroko rozwartemi powiekami. Czoło zmarszczone, lekkie poruszanie szczęka-mi świadczyły, iż myśl jego nie próżnuje, kil-kakrotnie przystawał, błyskające oczy kierował ku mówiącej, wciągał strumień powietrza, roz-twierał usta i znowu je zamykał, szybkim kro-kiem przechadzając się dalej. Gdy ona spokoj-nym głosem skończyła, przystanął, schylony tro-chę, z rękoma w kieszeniach i cicho, głosem sy-czącym wyrzekł:

— To, czego żądasz, jest niemożliwem. Nigdy się na to nie zgodzę.

— Zgodzisz się pan — zabrzmiał równy, zimny głos żony — gdyżem zdecydowana uciec się do najradykałniejszych środków.

— Ależ to być nie może! Moja Jadwisiu, pojmuję zupełnie, żeś teraz trochę zdenerwowana, ale tembardziej... potrzebujesz spokoju. Odpocznij, cierpiąca jesteś... Pomówimy innym razem... głupstwa te zatrzę jakoś, ale ty nie irytuj się tak straszliwie.

Mówił to powoli, sapiąc, przyduszonym głosem, z głębi duszy, w której obecnie wszystko, prócz czułości, kipiało. I dostrzegłszy smutny uśmiech Jadwigi, zawołał podniesionym tonem :

— Ależ nie możesz myśleć o tem seryo. Dość już skandalu mam i irytacyi. Do czegoż to doprowadzi, co ci przyjdzie z tego, co świat na to powie?

— Zapominasz zresztą — dodał po chwili — iż twoje obowiązki, najświętsze obowiązki, nie każą opuszczać dzieci. Chciałażbyś pozbawić ich ojca?

W Jadwidze oburzenie przemogło.

— Ja ich ojca chcę pozbawić? — zawołała. — O obowiązkach rodzicielskich pan prawisz, pan? W sam czas... Wyrósłszy — co miałyby

dzieci w tobie? Ach, to okropne, abyś ty im miał być wychowawcą, wzorem... A nasze życie, bez szacunku, bez przywiązania, ze wszystkimi następstwami, jakie mogą wyniknąć z twoich nawyknień, a mojej goryczy — jak wpłynęłoby na nie? Toż to atmosfera zabójcza! Ojcem jesteś, ty, co już teraz rzucasz na nie przekleństwo infamii i każesz im rość z piętnem hańby na czołach....

Cała rozprawa, pierwsza w pożyciu małżeńskim, któremu Jadwiga z wrodzonej delikatności i oportunistu oszczędzała zawsze «scen», zdenerwowała Kazimierza w najwyższym stopniu. Czując się jednak ciężko winnym i słabym, hamował rozdrażnienie z całych sił.

— Doprawdy — zaczął — nie wiedziałem, żeś taka gorączka. Nie spodziewałem się, aby tyle prawdy było w opowiadaniach ojca. Co słowo, to przesada. Słowo honoru, jak dziecko mówisz. Hm... myślisz istotnie, że ktoś wierzył w banialuki jakiejś pijanej baby? Co myślisz, że żyjemy w społeczeństwie kamedułów, świętych? Tak dalece naiwną nie jesteś. Znasz przecie opinią publiczną: lubi plotki, ale ktoby tam z nich robił awanturę, lub przykrości znajomemu z tego powodu sprawił? Śliczniebyśmy wyszli, żaden mężczyzna nie mógłby bywać w to-

warzystwie, bo i komuż nie przypnie się jaka łątką? A ty, któż śmie na ciebie palec podnieść? Zresztą, stoisz przecie ponad opinią, a pozbędziemy jej się wkrótce, gdyż temi dniami wyjedziemy stąd na wieś .. głupie gadaniny uciehną... widzisz...

Jadwiga ze wstrętem się wzdrygnęła.

— Czy to są owe warunki, co pana kwalifikują na dobrego ojca rodziny?

Słowa te szydęce, jak sto ostrych szpilek, przeszły Kazimierza — boleśniej, niż wszystkie ciężkie rozumowania.

— Proszę cię — wykrzyknął — nie przyprawdzaj mnie do ostateczności!

I ciszej dodał:

— Przecie nie zechcesz mnie zrujnować, złać. Pomyśl sama, co zamierzasz... Szczerze ci powiem... Możem i nie wart ciebie... Nieraz mówiłem to sobie, gdym rozmyślał o różnicach między nami, o twojej dumie książęcej, o twojem poetyzowaniu... Ale mimo to... Byłem nieraz lekkomyślnym... nieraz znowu, gdym siedział i patrzył na ciebie godzinami, i nie wiedział, jak cię zabawić, o czem z tobą pomówić, a ty w dodatku jeszcze się uśmiechnęła — to mnie dyabli braли... złość wściekła... dlatego bo kochać — ciebie tylko, wierz mi, ciebie tylko kochałem.. Co zaś do tej Maryski, wiesz...

Mówił to nieśmiało, błagalnym głosem, lecz ostatecznie zdanie wstrząsnęło Jadwigą. Natura kobieca, obrażona tem zestawieniem imion, odraza i pogarda, jaką oddawna czuła dla tego rodzaju uczuć, któremi mąż ją obdarzał, wybuchły z całą siłą.

— Panie, dość tego! — zawołała, cała zbieła i padła na krzesło. Cała rozmowa była jej wstrętną, każde słowo z tym człowiekiem kosztowało ją wysiłku, a zwrot, jaki przybrała... Uciec chyba stąd, uciec! jak najdalej!

— To ohydne, to okropne... — szepnęła i zakryła twarz rękami.

Kazimierz stał przez chwilę, potem dotknął się jej dłoni.

— Jadziu!

Zerwała się, jak za dotknięciem gadu.

— Brzydzę się tobą, gardzę tobą! — wołała w uniesieniu. — Cztery długie, straszne lata znosiłam to jarzmo... Złamię je, zdepcę... Jak ja mogłam tak długo wytrzymać pod jednym z panem dachem! Ale teraz — choćbym na bruk miała pójść z dziećmi, aby tylko precz od pana, byle już innym odetchnąć powietrzem.

Stała z załamanemi rękoma, nie patrząc nań nawet, ale w nim gwałtowna ozwała się reakcja. Dotknięty do żywego, stracił dotychczasowe umiar-

kowanie; ujrzał ją nareszcie wyczerpaną, bez sił, i postanowił rzucić się na nią i uderzyć, i to bronią, którą zawsze niskie natury się posługują.

— Ha, ha, ha! — roześmiał się gardłowo, zacierając ręce i wydymając wargi, i zaczął kiwać głową, jak człowiek mocno zdziwiony, patrząc na Jadwigę szyderczo. — Doprawdy, sam siebie nie poznaję... Farsa, słowo honoru daję, czy sta farsa... Ja zaczynam bawić się w amanta, ty w niewinną i cnotliwą dziewicę... miłość z przeszkodami... A do stu kaduków! Byłoby to komiczne, gdyby tyle krwi mnie nie kosztowało... Coś ty właściwie myślała, [urządzając mi taką scenę? Wielka rzecz — proces o wiarę małżeńską... Cóż u dyabła sądzisz, że dziś miłość, to jak w «Dziadach»? No, no, prawdziwa rozkosz bierz, patrząc na ciebie, na matkę dwojga dzieci, naiwną i rumieniącą się, jak podrostek.... Proszę ciebie, mężczyzna, — a miłość? Skąd jedno do drugiego? Któryż mężczyzna nie miał stu innych kobiet, zanim się z jedną ożenił? Powoli, duszko, tylko cierpliwości. Na stu smarkaczy, każdy wszystko już poznał, wszystkiego już nadużył... Już unosisz się, moja droga? Jam nabożnie słuchał twego kazania... Widzisz, skądżeby mężczyzna był jeszcze zdolny do ideałów, i niewinności, i wierności, i t. d., i t. d.? A ja

przecież... wierz — nie wierz... jam nie najgorszy... Bo czemuż coś mnie do ciebie ciągnie, i tylko do ciebie, i bez ciebie żyćby mi nie dało? Czy nie to nazywa się miłością? Prawda... ta dziewczyna... Przeklęta historia... Znasz bajkę o cyganie, którego koń uniósł, a potem ludzie posądza-
li o kradzież..? Słowo honoru — pocóż grać mi z tobą w ciuciubabkę? Byłaś w siódmym...

Nie dokończył, gdyż Jadwiga strasznie blada, a za chwilę znowu spurpurowana, z iskrami w oczach, pełna dumy i wyniosłości stanęła przed nim.

— Ani słowa więcej! — wyrzekła.

Było w niej tyle siły, a w rumieńcach, oblewających ją po czoło, w nerwowem falowaniu skrzydeł nosowych i warg i piersi — tyle imponującego wdzięku, że Kazimierzowi słowa zamarły na ustach.

— Ani słowa więcej! — powtórzyła. — Przebrała się już miarka... Tak afekty twoje, jak i twoje rozumowania są mi wstrętne. I jako szczęścia swych dzieci pragnę, tak nie odpocznę, dopóki nie będę wolna od ciebie... Dość... dość już... Ani jednego wyrazu nie mam więcej dla pana, ani jednej chwili... Jutro mnie tu już nie będzie...

— Nigdy na to nie zezwolę!

— Powiedz pan to swemu adwokatowi..

— Choćbym miał uciec się... do pomocy władzy...

— Dobrze, lecz teraz zostaw mnie pan samą.
Kazimierz gwałtownie się rzucił.

— Jadwigo! — zawołał, chwytając ją za rękę.

— Mamże zadzwonić na ludzi?
Pan Zimowiecki trzasnął drzwiami.





IV.

Bohaterka uczyta u państwa Zimowieckich, Maryska, znalazła się na ulicy zbita i obzarpana. W szamotaniu się ze służącymi zgubiła spinkę od koszuli, teraz z za rozchłestanej «pazuchy» widać jej pas czystego ciała złotawego koloru, gubiący się w pagórku piersiowym. Grube kosy rozwiały się, poplątały i gęstym, płowym włosem okrywają ramiona jej i kark zgięty. Maryska nie zważa na to. Siedzi pod sztachetami, otaczającymi dworek Zimowieckich, głowę w obu rękach wspiera na kolanach, tuż obok uczepił się dzieciak jej sukni i oboje płaczą. On przebiera nóżkami, palcami dłubie w szerokim nosie i łyzy i brud rozmazuje sobie po twarzy, chlipiąc po cichu:

— Na, na, na...

Ona, porwana prądem łkania, dysze pierśmi i szeptem:

— Boże, Boże... i co *poczniemo*, my *siryoty*...

Złota struga sierpniowego słońca oblewa ją całą, jej włosy zabarwia na kasztanowate, i ślizga się po żółtawym puchu na głowie malca, po jej twarzy zbiedzonej, zagłada w zaczerwienione oczy... Jak pies bity, podnosi Maryśka wzrok i błagalnie wlepia go w defilujących przed nią gości. Może który z tych panów zbliży się, ujmie krzywdy sieroty, da pomoc, poradę...

Grupki państwa rozmawiają gorąco, obrzucają ją wejrzeniami świdrującej ciekawości, nikt jednak nie podchodzi, nie pyta.

Maryśka przychodzi powoli do siebie. Cuci ją coraz głośniejsze szlochanie Michaśka.

Nic dziwnego — głodny jest.

I ona również.

Od wczoraj nic w ustach, prócz wody, no. i kieliszeczka wódki rano — nie miała. Za ostatni grosz kupiła bułkę, by «bajstrukowi gębę zapchać», a teraz żadnej nie posiada już szmaty na sprzedaż.

— Ma-mu, mamu, mamu! — piszczy malec żałośnie.

Ona zwraca się ku niemu.

— Sz... szsz... — zaczyna i krajem sukni ociera jemu i sobie twarz, łzami zalaną.

— Szsz.. szsz... — powtarza machinalnie i nie podnosząc się, próbuje zapiąć kaftanik.

Ostatni z gości chrzestnych, dwaj młodzi panicze, w cylindrach i rękawiczkach, stają przed nią.

— A wy kiedy byli u Zimowieckiego? — pyta jeden.

— Co prawda, tęga machina! — szepce drugi i laską dotyka jej kolana.

Suche jej oczy błysnęły gorętszym blaskiem; podniosła się, przytuliła dziecko i odeszła pośpiesznie.

Szła prosto przed siebie, nie rozglądając się wkoło. Była na wąskiej uliczce między szeregiem białych urzędniczych domków, otoczonych ogródkami, a długim parkanem klasztoru. Cicho tu i spokojnie, zgiełk miastowy nie dochodzi; słońce przedziera się na ziemię poprzez konary, rzucające z za płotów i parkanu fantastyczne cienie.

Przeszła Maryśka przed kościołem i nawet znaku krzyża nie zrobiła, zagłębiając się w myślach. Michaśko wytrzeszcza oczy na zieloną gałązkę, którą matka do rąk mu dała; bierze ją do ust i

krzywi się grymaśnie, a Maryśka z głową spuszczoną idzie dalej, nie widząc nic przed sobą.

Dokąd? i po co?

Nie ma w mieście rodziny, przyjaciółek. Jedna jest tylko krewna, ciotka rodzona, ale ta czarownica — Boże miłosierny!

Maryśka pamięta dobrze, jak ta ciocia porwała ją po połogu za kosy, kopnęła dwa razy, aż w kiszkaach zadzwoniło, i tak za drzwi wytrąciła. I chyba miała rację stara. Jakżeby jej nie miała? Taki wstyd. taka hańba w rodzinie...

Oh, Maryśka wie o tem dobrze, wie, że jest przeklęta od Boga i ludzi, że gdyby matka, stara Szymczykowa, z grobu wstała, zadusiłaby córkę wyrodną.

Matko, matko! poco ty umarła i córkę zostawiła samą? Razem-eście żyły lat tyle, w jednej izbie, przy jednej balii, przy jednym maglu. Jakżeż wówczas było Maryśce dobrze! Ubierała się, jak córka jakiego porządnego majstra, w niedzielę paradowała w cerkwi, na chórze śpiewała „Hospody pomiluj!“, a na szewczuków i rzemieślników, co do niej słodkie oczy robili, spoglądała z góry. I trzeba było nieszczęścia, że wdowa Szymczykowa rozpiła się, „wzięła i zmarła“, a dziewczynisko samo zostało marnie. Oh! matko, matko!..

Z oczu Maryśki łzy znowu spływają.

— Mamu, mamu! — zaczyna malec nownie — Mamu! — i twarz jej drapie gałązką.

Biedna kocina! «Gadać to jeszcze nie zdurza», a skwierczy ino, aż matce dusza się kraje.

Chybaby ciocia serca nie miała, gdyby temu niebożątku kawałka chleba odmówiła. Cóż ono winno, że ma matkę taką?

Prawda, matka jest ładaco. Służyła u państwa Zimowieckich «za pokojówkę». «*Daskonalnie*» tam szło, bo pani jak cukierek, a pan sam wcale nie «*sierdzisty*», nie dumny. Aha, pokazało się! Złapał raz dziewczynę — wyrwała się. No, nie to jeszcze. To «wszystkie mężczyzny» już taki ród, a od pana trzeba się tak opędzać, jak od lokaja i stajennego. Ba, «chycił» drugi raz... Trzeciego razu było to jakoś w wieczór świąteczny. Maryśka tego najadła się była i podpila sobie, a młoda krew warzyła się. Wówczas «un» ją rzucił, ona nie bardzo się broniła.

— Bodajem raczej była zdechła!

— Maamu!

Michał kopnął ją nóżką w piersi, aż stęknęła.

— Ty bajstruku jeden! — syknęła i spojrziała nań z nagłą złością i gniewem.

— Ba, krzycz i żal się, jak chcesz. Głód to — głód!

Maryskę, jakby skubało w środku, a drobiazg ten źreć przecie musi.

Ale oto i chata cioci.

Zabudowania porządne, dach słomiany cały, ściany czyste, w tyle wielki chlew, z którego bezustanny kwik się rozlega; przed progiem kilka grządek jarzyny.

— *Anu*, wejść, czy nie wejść?

Michał nogami nanowo zaczął ją bombardować.

Ha!

Zebrała się w sobie, odchyliła furtkę, drzwi izby i zaczęła.

— *Stawa Isusu Chrystu!*

Naprzeciwko niej ściana — prócz maleńkiego kwadratu, zajętego przez okno — zakryta całkiem obrazami świętymi, a między niemi Chrystus w czerwonym płaszczu, boską otoczony aureolą, kładzie swą rękę na głowę leżącej u jego nóg niebieskiej Magdaleny. Po lewej stronie progu piec ogromny, a po prawej stół, na którym piętrzą się stopy kiełbas, kiszek i salcesonów, mające wędrować do lodowni.

— *Na wiki stawa!* — odpowiedziała rzeźniczka, zajęta układaniem wędlin w wielkiej dzieży, i nie oglądając się na wchodzącą, kontynuowała:

— Szesnaście, siedmnaście... naście... Ach to!

ty! — krzyknęła z raptownem uniesieniem.

Obróciła się całą swą postacią. Niska, beczkowata, li w koszuli i spódnicy, na głowie brudna chustka zamiast czepka, rękawy zakasane. Kilka chwil stała z nadętą twarzą, barwy ciemnomiedzianej, nieczystej, jak kielbasa i z rozwartymi ustami, z których dwa białe kły błyskały.

— Ach, to ty, *publiko!* — wyrzekła drugi raz i przyskoczyła z furją do Maryśki.

— Nie gadałam-ci, co ci łeb rozwałę, jak mi się raz jeszcze na oczy pokażesz? A do czorta, a na złamanie karku, ty *draniu szmatława!*

Twarz jej stała się fioletową, trzęsła się cała, jak płat sadła.

— Ciotko! — zaczęła Maryśka.

Stara tupnęła nogą, godną młodego słonia.

— Jak Boga ukrzyżowanego kocham!...

Maryśka schyliła się, by uchwycić jej rękę.

— Ta zlitujcie się, ciotko, zlitujcie się...

Rzeźniczka szarpnęła rękę, dziecię głośnym wybuchło piskiem.

— Ty bezwstydnica jedna, ty *pomyjnyco żydowska!* — wołała tłustym, piwem nalanym głosem. — Naszą familią, naszą *porządną* familią tak zhańbić, że *kuźdy* mnie palcami wytyka, że ksiądz aż z ambony mnie głupstwa gada... potem jeszcze tu przychodzi, mnie *kutnierować*...

Płacz dziecka doprowadzał ją do pasy. Uchwyciła Maryskę gwałtownie za ramię.

— *Pedam* ci, że cię jak prosiaka oparzę, jak z maciory *bebechy* z ciebie wyrwę, szczeć z ciebie będę rwała, jak mi się raz jeszcze na oczy z tym *bajstrukiem* pokażesz... Do czorta z nim, do żydów pod ławkę, ty ścierko żydowska...

Jak miech dysząc, oburącz popchnęła siostrzenicę. Ta jeszcze nie ustąpiła. Schyliła się, do nóg jej padła. Chciała objąć jej kolana, wypowiedzieć swą biedę, uniewinnić się, lecz szepnęła zaledwie:

— Od *wczera* my nie nie jedli, *un* głodny, mały...

Lecz w tej chwili popchnięta silnem ramieniem, znalazła się na podwórzu.

Za nią trzask drzwi rozległ się głośny i echo:

— A zdychaj, a szczeñnij, jak suka.

Za płotem Maryska rzuciła dziecko na trawę. Sama miała także ochotę paść na ziemię, tarzać się, rękoma i nogami bić w powietrzu i krzyczeć, krzyczeć, jak zwierz... Uchwyciła się za włosy, jakby garściami wyrzywać je chciała.

Z sieni ciotczynej wysunęła się ku niej postać dziewczęcia. Bosa, rozczochrana, o piwnych, poczciwych oczach; wyglądała na lat czternaście.

— Maryska! — szepnęła.

Gestem przywołała ją za chałupę.

— Masz!

Wepchnęła jej do rąk mały węzelek.

Maryśka schyliła się nad nią, jakby w objęcia jej paść miała, zbiedzona, złamana.

— Antośka... — zaczęła.

W tej chwili rzeźniczka stała już przy nich. Oczy jej gorzały.

— A psiakrew jedna z drugą, a złodziejskie nasienie! — wołała zadyszana, chwytając zawiątko. — Dam ja ci, Antośka, że nogi zadrzesz! Takie *pajdy* chleba, kielbasy, dla tej *ladasznicy*, *chtórą* z domu, jak cholerę, trza wypędzić... Czekaaj, czekaaj, nauczę ja cię, aż ruski piątek popamiętasz...

Antośka usunęła się bojaźliwie.

— *Mamu!* — ośmieliła się nakońcu. — Słyszeliście, że dziecko głodne, i ona *takoż*...

— A choroby niech się najedzą ciężkiej! Ty *bedziesz* kraść dla niej, ty się z nią wdajesz, ty z nią... A do *kuczy*, *świnio*, do *kuczy*...

— Ciociu, ciociu!

Maryśce serce zdawało się pękać.

— Co to dziecko *bidne* pocznie...

— Ja nie twoja ciocia, rozumiesz? i znać ciebie nie chcę, ani mi się waź na oczy pokazać! *Bezhołowle* na ciebie, jak cię raz jeszcze dostanę!

Ujęła córkę za kołnierz koszuli jedną ręką, skonfiskowany węzełek do drugiej, i mrucząc podeszła ku domowi. Zawróciła jednak od progu.

— A jak szczęście ten bękart, jak go szlag trafi, to dla ciebie jeszcze szczęście... — dodała i znikła.

— To dla ciebie jeszcze szczęście! — brzmiało w powietrzu, dzwoniło w uszach Maryśki.

Długo stała na miejscu, z rękami zwisającymi, bez ruchu i czucia. Nakoniec zgrzytnęła zębami desperacko i gwałtownie schwyciła dziecinę, jak wiązkę bielizny, nie patrząc na nią.

— Na zębry, teraz na zębry chodź... — wyrzekła głośno, z nienawiścią i goryczą, jakby mówiła: to ty, płodzie przeklęty, po takim upodleniu mnie prowadzisz...

— Na zębry!

— Dokądże, gdzie szukać ratunku?

Ciocia jest jedyną krewniaczką. Wiedźma to, a przebłagać się nie da. Ta, psiakrew, zawsze nosa zadziera... Mówi tylko po pańsku (t. j. po polsku), a w niedzielę nosi ogromne korale i kalkuluje ino, aby mąż został w cerkwi starszym bratem. Nie zostanie nim już od czasu, kiedy ksiądz z ambony zgromił go za tę publikę...

Za takie zhańbienie rzeźniczka nigdy prebłagać się nie da.

— Cóż więc?

Mały zaczyna drzeć się w niebogłosość, charczy przytem i bije nogami w pierś jej, aż dudni. Ona sama ledwie na nogach się trzyma.

— Jeść. jeść przedewszystkiem!

Ha, w mieście ma «znakomych» i «kume» nieboszczki matki, i dziewczęta... Lecz do nich pójść, prosić? Wie przecie, co ją spotka. Pośmiewisko i przekleństwo, a w końcu *fora* za drzwi!

Oh, Maryśka zna dobrze tę strawę! Od półtora roku karmi się nią ciągle, a dotąd jeszcze się nie udławiła. Wydalona ze służby od państwa Zimowieckich, przystała na pomocnicę do jakiejś praczki. Wówczas zaczęto na nią palcami wskazywać, odłączać się od niej, przesłać...

Na kupie brudnej, cuchnącej bielizny chłopak na świat przyszedł, a jej niespodzianie los się uśmiechnął. Umieścił ją w domu człowieka bardzo porządnego, «choć żyda», za mamkę. Własne dziecko oddała na wychowanie starej babie, płacąc jej cały swój zarobek. Żeby jej wtedy było źle, tego nie mogłaby powiedzieć. Jest «pokrytką», no, to przepadło. Karmiła, kołysała, opierała «bachorka» żydowskiego, bawiła się, jadła codziennie mięso i dostawała prezenty. Przy ka-

zdej sposobności wykradała się do swego Michaśka, wpychała mu w usta pierś, tryskającą zdrowiem i obfitym pokarmem, a za grosz oszczędzony ubierała go w czepeczek, niebieskimi i czerwonymi kokardkami przeplatany. O całej swojej niedoli zapominała patrząc nań. Toż wyglądał akuratnie, jak mały Jezusek na obrazkach.

Po siedmiu miesiącach żydziątko odłączyło. Bieda zaczęła do niej zęby wyszczerzać. Ze zmniejszonej pensyi ledwie pokrywała koszta utrzymania Michasia i myśl o przyszłości sen jej odbierała. Ludzie się od niej odwrócili, ona, mieszczańska córka, była na służbie... Czy już na zawsze zostanie żydowską ścierką?

«Pan» jej, z zawodu pisarz pokątny, wystylizował wówczas kilka listów do pana Zimowieckiego. Powzięła Maryśka zamiar założenia pralni, a na to grosza trzeba. Spodziewała się, iż ojciec będzie miał litość nad dzieckiem. Gdzież tam! On się trzymał mądrej zasady «*totdschweigen*». Zwłaszcza «takie» stworzenia popierać, to znaczy rozzuchwalić je, stawać się pastwą ich bezczelności...

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zdecydowała się Maryśka przed kilku tygodniami na krok śmiały. Powędrowała pieszo na wieś, gdzie pan Zimowiecki rezydował.

Dostrzeżona — sromotnie została wypędzoną.

— Ha, wola boża!

I boża wola stała się... Przed sześciu tygodniami poszło jej żydziątko na okopisko, a «winkelszrajberowa» posługi już nie potrzebowała.

Cios to był okropny.

Przeniosła się Maryśka tymczasem do jakiejś szewcowej i zaczęła zjadać centowe oszczędności, potem koszule. Całowała najbrudniejsze «żydowice» po rękach, aby jej robotę «narajili», gryzła się i płakała co niemiara. Wszystko na nic. Całe miasto szlifowało sobie na niej zęby, wszyscy klęli i napędzali. Strach, rozpacz!

Ta ciocia, ta ciocia! Trzeba Boga nie mieć w sercu... «Abo un...» Psiakrew sobacza!..

— Aa-aa, kotki dwa... Michaśku!

W bolesnych rozmyślaniach pogrążona, szła Maryśka z zakątnej uliczki na rynek ostrogski po przez puste place. gdzie czerechy dzieci, owdzie znowu stada gęsi wylegiwały się w błocie. Szła machinalnie z ocieźzałemi nogami, z pękającą głową. Dzieciak bezustannie chlipie i nienaturalne wydaje głosy, ona zaczyna mruczeć pieśń «kotki dwa», przygniata go do piersi, — niezdolna już myśleć, chcieć, kierować swemi krokami.

Nareszcie zaniosły ją nogi do siedziby ostatniej chlebowawczyńi.

Pani «winkelszrajberowa» była właśnie zajęta zlewaniem konfitur do małych słoików.

— Jak *siemasz*, Maryśka! — zawołała nie odwracając się od słodkiego zajęcia. — No, dajże mi spokój! — krzyknęła, wrywając rękę, którą przybyła chciała ucałować. — *Bez ciebie* byłabym *wszystko wylała...* Puść-że... Ale co ty zrobiła najlepszego, durna jakaś? *Tak sobi, mir nix, dir nix*, wlatujesz do państwa na bal, i *szkandał* robisz, ha!?

— A com *mniała* nie robić!? — odrzekła Maryśka posepnie. — Ja od *wczera* nic nie jadła, i *un* *takoż* głodny.

Młoda żona pisarza pokątnego odłożyła chochlę.

— Co ty gadasz, Maryśka? co ty gadasz?

Spiekle wargi, blade policzki, a przedewszystkiem malec szary, splakany, ze schyloną głową, jak kurak zarznięty, — były dość wymowne dla miękkiego serca żydówki. Rudawa peruczka zatrzęsa się na niej.

— A to nieszczęście z tobą! — wyrzekła i pobiegła, dzwoniąc kluczami do alkierza.

Wróciła z chlebem w rękę.

Maryśka chciwie wyciągnęła rękę.

— Ba, a ten twój nie *wumi gryźć przeci...* — zauważyła pisarzowa, ze zdumieniem patrząc, z jaką pożądlivością matka z dzieckiem na krom-

kę się rzuciły. — Szkoda, *co ty pirwej nie przyjszła...* Była juszka kartoflana dzisiaj — wiesz? Ale to ty nieboże *skapcianiła* Marysko... Czeka-no!

Kromkę chleba oblała sokiem z konfitur.

Dziecię, jak ptaszę, dziób podniosło. Wpakowało chleb do ust i zaczęło ssać i cmokać. Zafarbowało sobie nos na czerwono, zakrzusilo się. Co kilka sekund wypluwało chleb z ust, oglądając go, jak kociak.

— Bóg święty panią *wynadgrodzi!* — wołała Maryska ze wzruszeniem, całując dłoń żydówki. — Ja już myślała, że *lignę* na śmieciu i tak już *kuniec* będzie...

— Nu, nu, nu... — powtarzała żydówka w zadumie, patrząc na tę parę. — A pamiętasz ty, jak-ēs tu siedziała z moim Iziem i śpiewała i tańczyła... ha?

Wzruszenie odbiło się na twarzy młodej matki. Zmieniła ton gorączkowo.

— W mieście *kuźden* już gada, jak ty wpadła tam, na *szcziny* i *pyskować* zaczęła. Joj, co tu ludzie nie mówią! Dziw, że cię do kryminału nie wpakowali... Co tam było Maryska, co?

Maryska, żując chleb opowiedziała całe zajście.

— Jak *un* taki ojciec — kończyła — co nad własnym dzieckiem litości *nima*, to i ja *takoż*, choćby kamieniem w łeb mu... Ja swojej krzy-

wdy nie daruję, ja *bez* niego zdychać nie chcę. Jak *un* ze mnie waryatkę chce zrobić...

Ścisnęła pięść, w oczach ogień nienawiści błysnął.

— Aj, aj, aj — zaczęła żydówka. — A *wisz*, co *ja* ci powiem? To *wielgie* głupstwo, to wszystko *nadurno*. Co ty z tego interesu *bedziesz* miała? Figi. Gdyby ty nie była taka *hołodryga*, tobyś się mogła i procesować, ale tak...

Pogardliwie machnęła ręką.

— Co tu dużo gadać!

Maryśka siedziała posępna.

— Gdzie tam mnie się procesować! — westchnęła. — Ale i *przez* tego... Ja swojej krzywdy nie daruję... Nie daruję, choćby i nie wiedzieć co robił, i ziemię gryzł... *Bedy* za nim chodziła, jak *chulera*, *zdybie* go na ulicy i wonczas rozmówimy się... Ale — dokończyła z chłopską zawziętością, ściskając pięści — ale po węgiersku!

— Ee... *terefere*... — wyrzekła pisarzowa, zabierając się znowu do konfitur. — *Nima* tu co dużo gadać. *Un* *zawždy* obywatel, pan *sobi*, a ty nie masz co do *giemby* włożyć... Co mucha zrobi słoniowi? ha? Ty nic nie masz rozum, Maryśka. Gadaj-no lepiej, co *tera* *bedzie* z tobą?

Maryśka siedziała w milczeniu, z oczyma w przeciwległą ścianę utkwionemi.

— Noo! — trzepnęła się żydówka na Michaśia, który do jej spódnicy się przyplątał.

Maryśka zgarbiła wysoką swą postać do kolan żydówki.

— Pani, pani! — jęknęła — Ta zróbcie, com was tyle razy prosiła. Ja wam *bede*, jak pies wierny, ja...

Wyrazu, coby odmalował całą wdzięczność, do jakiego czuła się zdolną za kącik i kawał chleba kosztem niewolniczej pracy, nie mogła znaleźć.

— Bierzcie, bierzcie mnie do służby!

Twarz żydówki nagle z gniewu nabrzmiała.

— *Taj howory do hory!* — krzyknęła. — Czy mało to *razów* ja ci mówiła: nie, i nie... Toż ty sama wiesz, co ja nie potrzebuję posługi... Nie ma już Izia, niema... Ja tylko i mąż mój, a na cóż kucharka? Gadaj sama, nu?

Maryśka знаła dobrze te stosunki i milczała.

— I słuchaj — ciągnęła pisarzowa. — Jak bedziesz miała szczęście, dostaniesz trzy *guldenów* na miesiąc, a za dziecko twoje musisz babie płacić *sztiry*... Nu, co z tego *bedzie*?

— Ten twój mały, to ci *pakunek wielgi*... Z nim nigdy i nigdy rady *sobi* nie dasz...

— Święta prawda! — przyznała Maryśka w myśli. — Święta-to prawda, ten śmierzuch to gorszy, niż sto łańcuców.

— Chyba z głodu zdechnie... — mruknęła półgłosem.

— Hm — zauważyła pisarzowa, skrobiąc chochla dno rondla. — To dla ciebie będzie szczęście. Po raz wtóry dziś te same słowa!

Maryśka wzdrygnęła się.

U stóp jej siedział Michaś, z koszulą zawiniętą, tak że nóżki i brzusek miał odkryte; na wysmarowanej twarzy roje much mu brzęczały. Syty i wesół, rzał pocichu i oblizywał palce.

Maryśce jego widok stał się nienawistnym.

— A bajstruku przeklęty! — szepnęła.

Słowa rzeźniczki i żydówki dzwonem w uszach jej były.

— A słuchaj-no — zaczęła nagle pisarzowa, wycinając papier do słoików. — Możeby ty poszła na wieś gdzie pracować?

Maryśka podskoczyła. Jak każda myśl genialna, tak i rada żydówki była prosta, jasna i trudna do zdobycia. Uchwyciła jej się oburącz.

— Jeno, co tam poczniesz z dzieckiem? — ciągnęła pisarzowa. — *Zawždy* tasama historia...

W głowie Maryśki myśl błysnęła radykalna.

— Pójdiesz daleko... za miasto... sama... Nikt

cię nie zna, nie ujrzy... Jest tam las gęsty, rów, woda... tam z małym...

— To dla ciebie będzie szczęście! — zabrzmiały jej wokoło głośnym chórem wszystkie bole, przez jakie już przeszła, wszystkie widma głodu, żebractwa, upodlenia, wysuwające się z ciemnego pomroku przyszłości.

— To dla ciebie będzie szczęście!





V

Pan Kazimierz Zimowiecki znajdował się poraz pierwszy w życiu w położeniu wprost rozpaczliwym. Nie chciał sobie wyznać, ale głos jakiś wewnętrzny szeptał mu, to wołał głośno, i to tem głośniej, im bardziej trwoga jego rosła, że gotuje się coś straszniego...

Pan Zimowiecki chodzi, jak struty. Z myśli, z przed oczu nie schodzi mu obraz: ona... ona... Od trzech dni nie wychodzi ona ze swego buduaru, nie dopuszcza go do siebie. Robi przygotowania — seryo! — a w czasie jego nieobecności przyjmowała notaryusza. No, ten zapewne jej wyperswadował, ale... hm... stary — dziwak, może i pogorszył sytuacją. W każdym razie zanosi się na grubą awanturę. Do stukroć! Ta kobie-

ta do wszystkiego zdolna... Z ciocią-marszałkową i mówić nie chciała; słowem — szalona...

Ma rozum, szyk, ton — choć do prowadzenia książęcych salonów, a piękna, oh, piękna! Lecz nie dba o toalety, nie żąda odeń wyjazdu, gości, balu... Zamknąć się na wsi — dobrze; zajechać do Ostroga, Wiednia, Paryża — drugie dobrze... Panie, zmiłuj się! Myślałby kto: gąska, nudna... Gdzież tam! Coś, coś w niej jest, ale coś fenomenalnego... Jak przyjdzie czasem na kawę z rozpuszczonemi włosami, świeża, różowa, z za szerokich rękawów ramiona ukazując pyszne — to on jak student stanie... Gdyby go spostrzegli wiedeńscy towarzysze wypraw nocnych, przyjaciele, którzy mu przed ślubem pomogli tysiąc wonnych spalić liścików... Ba, niechżeby który z nich przed nią stanął. To weźmie ona dzfecię na ręce, pada z niem na dywan, śmieje się i szczebioce — pensyonarka, pensyonarka! A za chwilę wyprostowana, czoło, brwi, jak Junona — co ma ona takiego w swoich oczach — co? Widział przecie księżniczki, królowe, boginie... na scenie... to we wspaniałych apartamentach, majestatyczne i dumne, a po kilku godzinach był z niemi sam na sam, śmiał się wesoło, brał je na kolana, igrał, szalał... Lecz ona — nigdy się nie zapomni! Żona — ślubna żona —

po czteroletniem pożyciu... Oh ten listek figowy, ten listek figowy! podjęła go wprost chyba po Ewie... No, ale prześlicznie jej z nim, cudownie. Z prozaicznej małżonki robi tajemnicę, siedmiu pieczęciami zamkniętą, a co to za rozkosz — pieczęcie te łamać...

Pan Kazimierz rozwalony na otomance wstrząsa się prądem erotycznym, uśmiecha się do własnych myśli; dym z cygara unosi się nad nim, a obłoczki snują się fantastycznie, zgęszczają, kłębią i jak mgły otulają rozwianą sukienkę, lekką, przeźroczą... Pan Kazimierz wpatrzony upuszcza cygaro — nagle i widzenie topnieje, blednie, ulata gdzieś... w dal... zostawia tylko woń silną, drażniącą...

On zrywa się na równe nogi.

-- *Verflucht, verdammt!* Ale to przecie być nie może! Ona zostanie, musi zostać! To się tylko tak mówi: opuszczę męża, dom, rodzinę, ale w rzeczywistości i ona, choćby była najbardziej emancypowana...

— A czy jest nią?

To ważne pytanie zajmuje umysł pana Zimowieckiego. Czy żona należy do emancypantek? W takim razie wejdzie w grę i *idée fixe*... A upór, dumę, ekscentryczność ma już... Szalona rozprawa!

— Ba! — rzucił się za chwilę. — Strachy na lachy. Cóż mi zrobi, kiedy ja prawo mam za sobą. Dzięki Bogu, mamy jeszcze ustawy i władze, co wezmą w opiekę męża przed emancypantką... Lecz zgryzoty, sceny, skandal... Boże miłosierny!

Stanowczo nie! Ta kobieta ma dwadzieścia trzy lata — dwadzieścia trzy dopiero, a on blisko dwa razy starszy... Ona już go chyba nie pokocha, trzeba wyznać prawdę, ona go już nie pokocha. Głupstwo romantyczne! Aby ją tylko posiadać... On jej potrzebuje, — jak powietrza. A jakiś sposób do zatrzymania jej — znajdzie się przecie...

Pan Zimowiecki zaczyna rozważać, szukać. Chodzi po pokoju wielkimi krokami, ze zmarszczonem czołem, nareszcie rzuca się znowu na otomankę.

— Przychodzę rozmówić się z panem poraz ostatni! — rozległ się tuż przy nim spokojny, kontr-altowy głos Jadwigi.

— Ach, to ty Jadziu..

Usiadł, ona stanęła naprzeciw. Była niezwykle blada, ale raczej wskutek przebytej niedawno słabości, aniżeli ze wzruszenia; regularne jej rysy, białe, dziewicze czoło, nos może trochę przydługi, usta zaciśnięte, o wargach dość wąskich a

wisniowych — nacechowane były spokojem i chłodem, jak u człowieka silnie zdecydowanego.

— Słuchaj Jadwigo! — zaczął Kazimierz w tonie uroczystym, — pozwól mi kilka słów perswazyi...

— Słuchaj pan! — przerwała mu Jadwiga. — Wyrzekam się raz na zawsze tej przyjemności. Dość dużo rozmyślałam, zanim powzięłam decyzją...

— Ale...

— Zresztą, wiem przecie wszystko, co mi pan masz do powiedzenia...

Gniew w nim zakipiał, lecz go pohamował.

— Nie, Jadwigo! Tyś dla mnie niesprawiedliwa. Ty mnie nie znasz, Jadwigo! Nie wiesz sama, jak wielki wywarłaś wpływ na mnie, jak zmieniłem się... Rozumiem, to całkiem naturalne, że tobie tu za ciasno, za prozaicznie, że masz inne... te... tam... ideały i cele... idealne... No, gdyby nie one, to naturalnie... żyćby nie było po co...

Jadwiga zagryzła wargi i odrzuciła głowę ruchem niecierpliwości. Kazimierz to dostrzegł.

— Lecz o co mi właściwie idzie... Pamiętasz, jakieśmy mówili o wspólnej pracy, o wielkiej akcji na rzecz kraju... pamiętasz? Teraz właśnie pora po temu. Muszę stanowczo zmie-

nić życie, zabrać się do pracy... Widzisz bo — nadchodzą w zimie wybory, a ja będę się starał o mandat do Wiednia z naszych okolic... A co?

Rzucił na żonę wzrokiem tryumfującym.

— Wszystko doskonale się złoży — ciągnął dalej. — Wyjedziemy stąd jak najprędzej. Zabiorę się do przygotowań wyborczych, a ty masz szkołę... może pomyślimy o szpitalu — co? Skoro tylko zechcesz... Słowo honoru, nie poskąpię grosza tam, gdzie idzie o te... tam... ideały i cele... Widzisz, starosta jest moim wujem, na wpływach mi nie brak... O tej... awanturze nikt tam nie wie... dziewczce zapcha się gębę... wi...

— I pan mnie to mówisz, mnie? — zawołała Jadwiga gwałtownie, zapłoniona, a nabrzmiałe niebieskawe żyłki wystąpiły jej na czoło. — I dla tego to ja mam i nadal być przy panu... żoną... Ja — pańską żoną! A czemżebym się różniła od tych kobiet, co frymarczą... swem ciałem.. pod jakimikolwiek warunkami?

Rozgorączkowała się, przeszła po pokoju gwałtownym krokiem.

— A życie pełne kłamstwa, pełne obłudy, pełne ohydy... wobec pana i wobec siebie... i wobec świata? A dzieci pod pańskim wpływem? Na to mam się zgodzić? Tak dalece jeszcze nie upadłam... Liczyłam się dotąd z rozmaitemi

względami... wolałam cierpieć, niż działać, teraz widzę, jakam była małoduszna, hipokrytka... Dość! Albo będę żyła prawdą i uczciwością, albo żyć nie wartam!

Kazimierzowi krew uciekła z oblicza. Wyglądał o dziesięć lat starszy, z twarzą żółtą, zielonawymi plamami nacentkowaną, z drżącymi wargami i rękoma.

— To doprawdy do wściekłości może doprowadzić! — mówił z wysiłkiem, bo głos z trudnością się mu wydobywał. — Cóż cię opętało, co ci do głowy strzeliło? To doprawdy niesłychane. Wiesz, że mam słabość do ciebie, robię ci wszelkie ustępstwa... Jeszcze nie dosyć? Co ci przyjdzie z tej afery? Skandal, dzieci bez rodziców, conajmniej proces rujnujący, zniszczysz karierę, którąbym w parlamencie mógł zrobić, a na cóż, co ci przyjdzie z tego? — kończył, machając rękoma i z krzykiem ordynarnym.

— Będę wolna — odrzekła Jadwiga czystym, dzwięcznym swym głosem. — Będę żyła, jak uczciwy człowiek i sama wychowam dzieci.

— Ha! — syknął Kazimierz przez zaciśnięte zęby. — Dodaj odrazu: i odszukam ideał młodości, pana Teofila. Nieprawda, aniołku?

Twarz Jadwigi purpurą się oblała i w jednej chwili stała się biała, jak koronka, którą kołnier-

rzyk jej był oblamowany. Pan Kazimierz dostrzegł nagle, że ma broń przeciw niej; wszystkie niskie i grube jego instynkta wyszły na wierzch.

— Ha, ha, ha! śmiał się ostrym, trywialnym śmiechem. — Poetyczna, idealna Julio! Z Romeem połączyć się niełatwo.. Nie wiesz może, idealna pani moja, jakie prawa obowiązują nas śmiertelników na tym świecie? Objaśnię cię, objaśnię. Seperacya, którą mogłabyś wyproceso-
wać, nie jest rozwodem, aniołku; żaden ksiądz wam ślubu nie da, zawsze moją żonusią zostaniesz, rozumiesz? do śmierci, do śmierci ty moja...

Jadwiga zsunęła się na fotel.

— Nędzny... — wyszepnęła zbielełymi wargami.

— A, świetnie-s to wyrzekła! Sara Bernhardt nie potrafi lepiej.

— Nie mam już wiele słów dla pana — zaczęła po chwilowej pauzie walczącym ze łzami głosem, który z trudnością odzyskiwał równowagę. — Chciałam uniknąć skandalu publicznego, ale pan go widocznie pragniesz. Nie chciałam, by kartki sądowe opowiadały kiedyś dzieciom, jak niecnego miały ojca, nie chciałam puszczać w ruch śledczego aparatu świadków i dowodów, co mnie śmiertelnem obrzydzeniem przejmuje. Notaryusz powiedział, że możliwą jest seperacya

za wzajemną zgodą. Bylibyśmy księdzu podali jakikolwiek powód: niezgodność usposobień, antypatyą — przeciw prawdzie przecież nie zgrzeszymy, a sąd musiałby nas rozłączyć!

— Nigdy, nigdy, póki tchu mi stanie! — przerwał tupiąc nogami.

— Więc zmuszasz mnie do procesu... w sprawie tej... dziewczyny? — wyrzekła cicho.

Kazimierz podskoczył.

— Jadwigo! — wykrzyknął strasznym głosem.

— Cóż..?

Stali kilka sekund naprzeciw siebie. Ona z rysem spokojnego cierpienia na białej twarzy, wyprostowana, patrzyła nań surowo i badawczo: on, schylony, z głową nazród podaną, poruszał wargami; nalana twarz ceglastemi rumieńcami mu się zafarbowała, w oczach zielonawy złowrogi błysnął ogień.

Nagle rzucił się z przytłumionym, niezrozumiałym wykrzykiem na ustach, i silnym ruchem wężowym otoczył jej kibić, gwałtownie przycisnął oburącz do siebie.

— Ja cię nie puszcę, Jadwigo! — bełkotał. — Ty żona moja, ty moja, ja cię kocham, rozumiesz? do głupoty cię kocham... kocham cię, Jadwigo...

Ją pot oblał zimny. Chciała krzyknąć a sło-

wa nie mogła wydobyć. Rozpaczliwym wysiłkiem wyrwała się z jego objęć. Cofnęła się ku drzwiom, Kazimierz za nią. Straszny był, ohydny. Przyskoczył z wlepionym w nią wzrokiem, w którym lśnił fosfor rozbewnienia, drżącemi rękoma uchwycił szmat jej sukni, a gdy Jadwiga szarpnęła się, potoczył się, padł na kolana i twarz przytulił do jej sukni, i włókł się u jej stóp.

— Ty mnie do szaleństwa doprowadzisz, ty mnie do zbrodni popchniesz... — syczał. — Ja cię Kocham, ciebie tylko, ciebie jedną Kocham...

Jadwiga obejrzała się przerażonym wzrokiem, chwiała się, jak trzcina. Znikąd nie mogła spodziewać się ratunku. Kazimierz szarpnął ją za rękę — jej sił zabrakło, omal nie padła na dywan.

Nawpół nieprzytomna porwała swój zegarek i cisnęła w wiszące naprzeciw zwierciadło.

Łomot, brzęk rozległ się po pokoju. Kazimierz zerwał się, z kuchni wpadła służąca.

Jadwiga schyliła się po zegarek.

— Uprzątniesz tu zaraz wszystko! — wyrzekała, i nie oglądając się weszła do swej sypialni. Tu padła na fotel, głowę oparła o poręcz i konwulsyjne łkanie wstrząsnęło nią całą.

Przed nią stanął Kazimierz, żółty na twarzy, gryząc do krwi wargi.

— Dobrze — przemówił nareszcie, sapiąc

ciężko. — Roznamiętniłem się niepotrzebnie, przepadło. Nie bój się, będę trzeźwym. Rób, co chcesz, masz przecie rozsądek i energią. Dobrze, wytocz mi proces, sprowadzaj przeciw mnie tę dziewczkę, niechaj przysięga, dobrze: świat będzie to dzieciom długo pamiętał, a ty zostaniesz sławną heroiną powiatową, dobrze; ale jedno ci powiem, Jadwigo. Ty mnie nie znasz jeszcze. Wiesz, nie jestem złym człowiekiem, nie wiem, czym kiedy komu coś złego wyrządził, ale do muru przyparty, nie dam się dusić, i nie będę się przypatrywał z założonemi rękoma. Potrafię walczyć, potrafię, i mścić się umiem...

Ona zawładnęła już nad rozszalałemi nerwami. Szklane od łez oczy utkwiała w twarz mówiącego.

— Taką mowę rozumiem — wyrzekła dość silnym głosem. — Słucham pana z całą uwagą.

On obrzucił ją jadowitem spojrzeniem.

— A dzieci co, o dzieciach zapomniałaś!?

— Owszem, mówił mi notaryusz...

— Mówił ci, to dobrze. Więc wiesz, że Oleśia za dwa lata, a Zosię w siódmym roku ja zabieram na mocy mego prawa ojcostwa. Co? bardzo ci będzie przyjemnie, gdy cię uwolnię od pracy nad wychowaniem i wykształceniem naszych aniołków?

Jadwiga nic nie odrzekła. Źrenice jej rozszerzyły się z wyrazem osłupienia. W krótkiej rozmowie, jaką potajemnie miała z prawnikiem, poruszyła ten przedmiot, lecz pobieżnie; nie składała mu zeznań, a on powiedział tylko, iż wogóle, gdy istnieje przyczyna prawna, może kobieta żądać seperacyi, a stosunek do dzieci normuje się podług umowy, i że człowiekowi, znanemu z lekkomyślnego i niemoralnego trybu życia, sąd może odebrać prawo do kierowania dziećmi.

— A może myślisz — ciągnął Kazimierz dalej z grymasem uśmiechu, pastwiąc się nad oszłomioną żoną, — że władze nie wydadzą mi pędraków, bom rozpustnik, uwodziciel etc, etc. To się mocno mylisz. Jeszcześmy tak nisko nie upadli, by świat oddawał kobiecie słuszość i przewagę nad mężczyzną. Gdy zaś chodzi o załatwienie rachunku z tobą, piękna moja pani, potrafię urządzić sobie tak żywot, że mi nie udowodnisz nic złego, rozumiesz? A aniołki pójdą do mnie, do Wiednia, do Paryża, do mego haremu, jak zechcę, rozumiesz? Od szóstego roku życia najdalej musisz mnie je dać. A potem, gdy ładnie poprosisz, będę ci je posyłał co roku na kilka tygodni, i nacieszysz się, widząc, jak ślicznie wzrastają pod moją opieką... rozumiesz?

Czy ona rozumiała? W tej chwili niezupeł-

nie jasno, gdyż w umyśle jej pociemniało. Padła na fotel, zakrywając sobie oczy. Piers jej podnosiła się i opadała; przez palce — grube, ciężkie łzy popłynęły.

Kazimierz popatrzył, sarkazm i uniesienie zgasły w nim. Z czułością schylił się i dotknął jej ramienia.

— Moja droga... — zaczął miękkim, pełnym współczucia tonem. Nie dokończył, Ona odskooczyła. Wyprostowała się, biała dumna, ze skrami w brylantami błyskających oczach, pełna wyniosłości i pogardy.

— Podły! — rzuciła, odwracając się ze wstrętem.

Przez chwilę zdawało się, że Kazimierz na nią się rzuci z całą pasją i rozkiełznaną pozą-dliwością, jaką w nim ta kobieta, nawet w chwili policzkowania go, wzbudzała. Podniósł się trochę na palcach, pięść ścisnął, do ust potok jadu mu spłynął. Połknął go jednak, zgrzytnął zębami i z cichym sykiem wyrzekł powoli:

— Ha, niech i tak będzie. Rób, co chcesz. Ja ci ustępuję, zostawię cię twemu losowi. Jutro stąd wyjadę, Zimowice sprzedaję, i będę się starał nigdy tu nie powrócić. Niech mi się wyda, że to cztery lata wstecz, żem znowu kawalerem. Adwokat mój wypłaci twoje mizerye posagowe, i

wszystko, co w tym domu, możesz spieniężyć. Rób, co chcesz, powiadam ci, ale pamiętaj: na seperacyą nigdy się nie zgodzę. Bo i pocóż mi? i tak zamiast ciebie znajdę innych setki, rozumiesz? Tobie jednak, piękna pani, jeśli wytoczysz proces, zabiorę dzieci; jeśli nie — to pójdziesz w świat, ale ze mną zawsze związana. Rozumiesz, żonusi? Trzymam cię na sznurku i w każdej chwili mogę pociągnąć. Tyś moją, moją, żonusi, i bębny te moje, a z praw swoich korzystać potrafię... Tego bądź pewna...

Wycodził te słowa ze spokojem, dobitnie, z groźbą i ironią naprzemian w głosie, nakońcu złożył zdrętwiałej Jadwidze głęboki, ironiczny ukłon i opuścił pokój.





VI

Maryśka radykalnego swego zamiaru nie wykonała. Michaś ocalał, dzięki przypadkowi.

Zdecydowana pozbyć się dziecka, puściła się w drogę, gdy na przemieściu, przy moście, spotkała starą Mechlowę. Żydówka ta, znajoma nieboszczki Szymczykowej, zajęła się losem wędrującej i zapytała, co znaczy jej mina desperacka i peregrynacya. Maryśka opowiedziała swą niedolę.

— Ty Maryśka jesteś głupia! — zawyroko-
wała Mechlowa. — A czemu ty *siuda* nie *przyj-
szła*? *Aboż niewisz, chto* twój *psijaciel*? Czeka-
j, może zrobimy jaki *jenteres*...

Zamyśliła się żydówka, i Maryśka przystanęła, wpatrzona w pomarszczoną, ostrą jej twarz, za-

kończoną krogulczym nosem i trójkątną brodą.

— Słuchaj Maryśka! Możeby ty została praczką?

Biedaczka westchnęła nabożnie.

— Oj, *kob'sie to* dało...

— A czemu nie ma się dać? Czeka-j-no...

Maryśka poczekała, z całych sił ściskając dziecko i pożerając wzrokiem pergaminowe oblicze żydówki. Ta weszła do kramu, z ołówkiem w ręku zaczęła coś notować, zadawać Maryśce pytania, liczyć, kombinować, a rezultatem tych czynności było, że Maryśka na drugi dzień została w jednej osobie właścicielką, kierownicą i jedy-ną robotnicą nowozałożonej pralni przy ulicy Szewskiej.

Maryśka patrzyła na siebie, to na chłopaka, który żywy i wesół wymownem miauczeniem radował się z niespodzianego szczęścia, w kształcie chleba, maczanego w mleku; patrzy na ściany i umeblowanie swego zakładu i nie może przyjść do siebie, wierzyć, powtórzyć, jak się to stało?..

Stało się to w bardzo prosty sposób. Mechlowa zrobiła niezły interes. Dała Maryśce własną starą balię, stolik jakiś, dwa krzesła i dwadzieścia reńskich. Tym kapitałem miała Maryśka przystąpić po wynajęcia, umeblowania i puszczenia w ruch pracowni; nadto miała przyrzeczony

kredyt w sklepie i protekcyą w domach obywatelskich; a za to ze łzami w oczach, omal nie na klęczkach, zobowiązała się przez dwa lata płacić żydówce co tydzień jeden reński.

— Bóg święty, *panientka* przeczysta... — wołała, całując Mechlowę z wzruszeniem głębokiego szczęścia, zapominając, że ta coś innego, niż łaskę nieba miała na oku.

Mieszkanie znalazło się rychło. Było to na rogu przedmieścia «szewskiego», w chałupie napół zwalonej, przedniem «skrzydłem» do rudery, tylnem do chlewu podobnej. Poszycie dachu było obszarpane i zgniłe; ze wschodniej i północnej ściany wiatr zerwał był całe stopy «hałamuców», sputkiwał je deszcz każdy, aż zostały zwaliska łyse, gliniaste, bez szyb w wielkich dziurach, kupami gruzów podparte. Wewnątrz jednak można było doskonale suszyć bieliznę. Druga część chałupy, niska, plamami świeżej gliny obsmarowana, ze świeżemi łątami obok omszałych lub zczerniałych snopów na dachu, była przeznaczona na mieszkanie. Popod ścianą frontową szła przyzba, dalej dość wielki plac, niegdyś zapewne pod ogród zajęty, teraz zachwaszczony trawą i pokrzywą.

Tu rozpostarło się królestwo Maryski.

Gdy poraz pierwszy weszła do izby, za którą

trzy guldeny zapłaciła, postarała się o tapczan, ustawiła dwa krzesła, kociołek, balię, a snop światła przez małe okienko padł na Michasia, złocąc jego główkę i bosc nogi, ogarnęło ją niesłychane rozczulenie. Uchwyciła malca i w wybuchu zwierzęcej namiętności zaczęła obsypywać twarzyczkę, szyję, brzuch, koszulkę gorącemi pocałunkami. Po wielkiej jej, foremnej, zarumienionej twarzy łzy spływały. Potem padła na kolana, ale prędko wybiegła i wróciła po kwadransie z obrazem Matki Boskiej, w złotych ramach, czerwonymi i niebieskimi farbami malowanym. Nie mogłaby Maryśka powiedzieć, kogo w tej chwili goręcej kocha, pędraka swego, za którego dałaby oczy sobie wyłupić, czy miłosierną opatrzność bożą, nadsyłającą w sam czas zrozpaczonej biedaczce geszefciarską żydówkę, a żydówce lichwiarski geszefcik.

Maryśka była kompletnie szczęśliwą.

W najśmielszych marzeniach nie mogła sobie wyobrazić piękniejszego ideału, nad posiadanie własnej pralni. A teraz marzenie urzeczywistnione, przybrało postać izby, zapełnionej codzien duszącym dymem i stosami cuchnącej bielizny.

Ciężko trzeba było *harować*. Ale od czego ba-ba młoda i zdrowa. *Była* roboty poddostatkiem, to *dzięki* Bogu.

Roboty żydówka *naraiła* sporo, a *kuźdy kawał szmatia* był listkiem we wieńcu szczęścia Maryśki. W dwóch tygodniach, twarz jej, blada dawniej i mizerna, wypełniła się, zaświeciła zdrowiem i wesołością.

Jej ręce tkwiły w jednym stosie brudów, Michaś w drugim. I obojgu dobrze było. Szczególnie mały, niedokrwisty *chudziatko*, co dotąd prócz słowa «mamu» nic nie umiał wypowiedzieć, i kroków nawet nie stawiał, dobrze odżywiany i pielęgnowany, rozwijał się «bardzo doskonale.»

Jak z bicia trząśł, minął sierpień i wrzesień.

Maryśka nie znała rachuby czasu, jak wszyscy ludzie nierozwinięci i wszyscy szczęśliwi. Ona oba przymioty w sobie łączyła. Nie czuła bezpośrednio pazurów biedy i o przeszłości nie myślała; uczucia jej i myśli skupiały się obecnie w bezgranicznem przywiązaniu do dziecka, jakby chciała odwetować zbrodniczy swój zamiar.

Nieraz odbiegała od balii i z dzikim śmiechem i okrzykiem wesela przypadała do małego. I on do niej ręce wyciągał, policzki wydymał i wszczynął konwersacyą:

— Ma-mu, ggrrru., bddu...

A ona obsypywała go pocałunkami, zapychała bułką. Dla siebie niedużo miała; płaciła żydówce i zagospodarowywała się porządnie. Ale

piatnaście ryńskich na miesiąc, a tyle potrzeba było na wyżywienie i «raty», trudno zarobić. Nie to jednak, jakoś to będzie.

Żeby tylko gorzej, jak teraz, nie nastalo...

Dla fantazyi więc, od czasu do czasu wychylała kieliszeczek i Michaśka podrzucała kilkakrotnie w górę, aż stos bielizny pod nim zajęczał. Potem przypominała sobie przeróżne dowcipy i śpiewki z dawnych czasów, kiedy to jeszcze z dziewczętami razem robiła i bawiła się. Teraz — sama wprawdzie, ale do czorta tam z ludźmi! Alboż ktoś miał nad nią zmiłowanie, gdy była głodna? Alboż dawne znajome nie wytykały jej palcami i nie szeptały: «*pokrytka, żydowska pomyjnyca*»?! A niechaj szcekają, Maryśka jest już na własnych śmieciach i dobrze jej nieraz...

Te i tym podobne historie opowiada długimi godzinami swojemu Michasiowi, a on kiwa głową i nogą i łapką grzebie obok matki w ziemi dołek, który zaraz zachodzi wodą, bryzgającą z balii.

— A ty hyclu jeden... cóż, znowu *bajury* mi tu robisz? — woła Maryśka niby rozsierdzona i w uśmiechu rozszerza usta od ucha do ucha. Gdzieżby tam mogła się gniewać na to maleństwo... Owszem, na chwilę siada na ziemi, pomaga mu w robocie, albo podaje mu drzazgi do

wtykania w grunt rozmiękczoney. Przytem donośnym głosem wyśpiewuje setne kołomyjki i inne pieśni.

Stała się znowu tęgą i piękną. Od grubych jej, czerwonych rąk odbijała twarz smagława, regularna, o wiśniowych ustach i białych, dużych zębach. Grube, kasztanowate warkocze spadały jej na nagie, muskularne ramiona, które podnosząc się rytmicznie w pracy, rozpierały koszulę i ukazywały czystą, lśniącą, miękką skórę i zawielkie może, lecz jędrne i wspaniale zarysowane piersi.

Zwracała na siebie uwagę całego przedmieścia, stawała się sławną, przez pierwszą zimę zarabiała tyle, iż mogła w niedzielę odpoczywać i mięso sobie gotować. Ale.. robak się łęgnie i w bujnym kwiecie... W niedzielę było jej nieraz bardzo *kuczno*... Gdyby tak z kim pogadać, nasmiać się, a czasem choćby i poskakać...

Westchnienia wrywały się jej z piersi; patrzyła, jak się to dzieje między ludźmi, a ona sama — jak ten palec... Jej nawet nie myśleć już „o chłopie!..“

Hej! ciężko-bo dziewczynie samej...

Pod wiosnę roku następnego czuła się bardzo *kiepsko*. Coś, coś nurtowało ją. biło w głowę i wprowadzało na myśl nawet ów wieczór, kiedy to pan Zimowiecki ją *ucapił*. A myślała o tem

Maryśka za często, bo i roboty — było mało. «Żydowice» były po świętach, a w nich miała główną klientelę. Bieda zaczęła wyszczerzać do niej zęby.

W jakiś wieczór niedzielny siedziała na przyzbie, huśtając swego chłopaczka. Dumiała o tem i owem; co to się stało z panem Zimowieckim, o którym gadają że wieś sprzedał i uciekł, i o tem, że tak dawno nie była już u spowiedzi, i czy żydówka zechce jej dalej *borgować*. Rozmyślała, gdy z oddali doleciały ją znajome, miłe tony. Głos to harmoniki, wygrywającej skoczne to melancholijne «kawalki». Maryśka zasłuchała się. Poraz pierwszy od bardzo, bardzo dawna zabrzmiała dla niej muzyka. Zasłuchała się. Michaś umilkł, i ona uchem chciwie łowiła melodye. Powoli zaczynała pocichu wtórować, twarz rozjaśniała jej się, gdy melodia była znana. Harmonika uderzyła w kołomyjkę, która zadźwięczała wśród ciszy zapadającego zmroku, głaskając, pieszcząc po sercu Maryśkę. Nie wytrzymała: podrzuciła Michasia w górę i nawpół mimowoli zanuciła:

*Bołyt mene hołowońka,
Triba mi doktora,
Łysz jakoho mołodoho,
Bo ja duże chora.*

Hu, ha!

Nagle harmonika umilkła, a przed śpiewającą,

przeskoczywszy płot, stanął z szlachetnym instrumentem w ręku mężczyzna, ubrany w piękną kapotę mieszczczańską i sukienny kapelusz. Pokręcił węża i z wesołym uśmiechem, w którym szereg wilczych zębów ukazał, rzecze bez ogródek:

— A możebym ja był tym doktorem?

Ona zerwała się przestraszona.

— A cóż to znowu? pfe! — zaprotestowała energicznie i znikła w pokoju.

Mężczyzna poskoczył, drzwi roztworzył.

— Niech pan sobie zaraz idzie! — krzyknęła, — bo jak Boga kocham, będę krzyczeć...

Znikł, ale się nie odstraszył. Zuch to był ten sąsiad z *przeciwka*, musiała sobie Maryśka powtórzyć niejednokrotnie tej nocy i w dniach następnych. Jak mu się oczy śmiały, jak czupryna błyszczała! A rosły, zgrabny, *alegant*... *joj!*...

Przechodził często obok jej podwórza. Raz dzwigała potężne konwie wody, on się zaofiarował z pomocą. Pogadali przy tej sposobności bliżej. Był on wędrownym murarzem, zajęty od niedawna w Ostrogu przy budowie plebanii.

— *Piekny* musi pan grosz zarabiać — zauważyła Maryśka.

— A jakże. Ale co mi *ta* z tego? Człowiek sam jak *sirota*, to nietylko chleb, ale i kielbasa nie smakuje.

Maryśka oblizwała się; dawno już prócz skwarek do kartofli nie smakowitego w ustach nie miała.

— Czyby nie zabrała i jego bielizny do prania? — zapytał znowu z miną proszącą.

Naturalnie zgodziła się, ale z całą stanowczością poprosiła przytem, aby do jej mieszkania więcej nie zachodził. Mówiła to z całym poczuciem godności osobistej i dumnej jakiejś powagi.

Pan Mikołaj tylko węża pokręcał.

Zaprzestał wizyt na dwa całe tygodnie, a Maryśce słabo się «wele serca» robiło. I żalność ją ogarniała ze zmartwienia, że Mechlowej płacić nie jest w stanie, a o omaście do chleba nawet marzyć nie śmie...

W najbliższy wieczór niedzielny spotkał ją Mikołaj.

— Czy pozwoli *halby* piwa i miseczki *drehli*? — zapytał.

Odmówiła, gdyż dziecko samo zostało w domu, a zresztą nie *pasuje...* z *kawalirem...* Dała się jednak rychło uprosić, zmożona poczuciem odosobnienia i biedy, co szczególnie w niedzielę wiosenną, gdy wszyscy wystrojeni i świąteczni wesoło po mieście i szynkowniach paradowali, robiło ją bardzo nieszczęśliwą.

Z piwa przeszła do wódki, po mięsie wychy-

liła *arbatę z harakiem* i klepiąc pana Mikołaja po ramieniu, wyszła z szynku.

Przed drzwiami chałupy przystanąła i zaparła sobą wejście.

— Nie, i nie... — powtarzała do junackiego murarza, który szedł za nią z miną nie już przedsięwzięty, lecz tryumfatora.

— Ależ głupia, — rzucił jej zniecierpliwiony — ja się z tobą ożenię.

Tę noc przepędził u niej.

Nazajutrz obudziła go głośnym płaczem.

— Co to? — zawołał, ramieniem stan jej otaczając.

— Czy doprawdy myślisz się ze mną ożenić?

On wyszczerzył zdrowe, błyszczące zęby.

— A to? — wyrzekł, wskazując na Michasia, który noc tę nie przy boku matki, lecz na wiązce bielizny przepędził.

Łzy gorętsze, cięższe po twarzy jej się potoczyły.

— Ten psiakrew sobaczy, ten pan Zimowiecki... — szeptała z konwulsyjnym łkaniem, przytulona do poduszki.

Poznała cały ogrom niedoli i hańby, na której szczebel już stanęła; mimo to przyjęła Mikołaja i wieczorem.

Stał się towarzyszem jej życia. Żyli *na wiarę*.

— Bój się Boga, Marysko! — wołała ze zgorzeniem żydówka.

— Ta, — ona — ta! szszsz... — zaszumiało, zasyczało na wodzie wśród praczek na jej widok.

Maryska tak wykrzyki zgrozy, jak i szeptyszydercze milczkiem «chowała do kieszeni.»

— *Albo co?* myślała i odpowiadała.

— Naturalnie. Czy to ona zakonnica, czy ma duszę «z kłaków»? Życ — to żyć, i tyle. Mikołaj zna tę sztukę *doskonalnie*, oho, bo i czegoż *un* nie zna? Juści niewiele takich na świecie. Dobrze, że do niego przynajmniej trafiła. Cóż, biednej, z dzieckiem u fartuszka, nikt do ołtarza nie poprowadzi, a *bez to* nędzę gryźć i bożego nie używać swiata? Głupstwo. Mikołaj ją lubił, ona jego całą duszą, Mikołaj oddał jej w sobotę aż trzy papierki i ona trochę zarobiła — hejże więc na bal!

Drugie lato schodziło. W izbie Maryski ciasno i nieporządnie. Prócz wielkiego pieca, z którego bił dym i rozlegało się bulkotanie bielizny, stała w środku, na stosach cegieł, wielka balia, przy niej cebrzyk i konewka. Para z gryzącym dymem unosi się chmurą pod sufitem, jak mgłą przysłaniając ściany. W izbie atmosfera duszna, nasycona dymem i wyziewami z mydlin i ługu.

Przy jednej ścianie, tuż pod Matką Boską Po-

czajowską, niskie, szerokie łóżko z poduszkami z kurzego pierza i bez poszewek, przy drugiej stół i krzesło, a pod oknem dwie skrzynie; większa stanowi własność Mikołaja, który tu zamyka bieliznę, ubiór odświętny, paczkę kart i skarb nieoceniony — harmonikę. W jednym kącie izby — wielka szczotka i kielnia, a na kominie kilka talerzy, dwie szklanki, nóż i para widelców i ty-leż łyżek; wszystko okryte potem.

Takie urządzenie posiadała już Maryśka. Nie była też niewdzięczną, oceniała wielkość swego szczęścia i starała się żyć gospodarczo i rzadnie. Jedna niewygodą trapiła ją dawniej; woda, pryskająca i rozlewająca się z balii, tworzyła na ziemi formalne kałuże, a ten mały hycel babrał się i świństwa wyprawiał. Niedawno Mikołaj ceglami ubił ziemię, *wyflastrował* posadzkę, zabierał się nawet elegancko wybielić całą chałupę — i Maryśka z satysfakcją patrzyła, jak z niczego przychodzi do statku i ładu.

Ze wzrostem bogactw — rośnie rozum i ambicya; Maryśka żyła cicho i poważnie w swej chałupie i nad swą robotą, jak prawdziwa gospodyni, a dobrobyt terażniejszy jeszcze jej nie wystarczał. Gdzież-bo-to podobne do tego, co miała stara Szymczykowa? Wstyd doprawdy przed Bogiem i ludźmi. Alboż ona nie córka mieszczanki?

W domu matki były dwa łóżka z piernatami, był zegar, samowar, pito kawę i herbatę... To ta psiakrew ciocia ukradła wszystko i *ciągiem* jeszcze *wydziewia*... Kiepsko — ale z czasem... kto wie... może się Mikołaj namysli...

Dla przyspieszenia dojrzałości tych namysłów wszystko robiła i na razie dobrze na tem wychodziła. Robotę miał on dobrą — ona też niezgorszą — więc *Bogu* *dzięka* i za to. Z pełnym żołądkiem i miłość tyje, humor dopisuje, zbytek i dobroć wszelaka zjawia się na stole i w odzieniu.

W niedzielę wychodziła więc Maryśka w sukni perkalikowej i chuście wełnianej o pysznych czerwonych deseniach. Niskie czoło okryte płową grzywką, oczy duże, piwne, na ulicy nader poważne, twarz wielka, śniada, o grubych, pąsowych wargach, świeciła zdrowiem i młodością. Prowadząc się pod ramię z Mikołajem, któremu czarna kapota nadawała pozór statecznego mieszczanina, a pawie pióro w kapeluszu i uśmiech zawadyacki — minę walnego junaka, oboje rośli, tędzy z czystymi rumieńcami i wesołym błyskiem oczu, wyglądali przepysznie, jakby się w korcu maku szukali i znaleźli, bo stworzeni dla siebie. Doskonała była to para — nie chodzili jednak razem do kościoła i oszukiwali się wzajemnie tłumaczeniem, iż na tym punkcie przeszkadza ró-

znica obrządku. Maryśka rzadko uczęszczała do cerkwi, bo tam traciła zadowolenie i pewność siebie; bała się złości ludzkiej i księdza, który mógłby do niej się zwrócić. Spaliłaby się wówczas chyba ze wstydu; znajomą babę można na zaczepkę «zjeździć po łbie», a w ogóle gadanie ludzkie, to wiatr w polu, ale ksiądz — nakrzyczy się, nałaje, — ekonom Pana Boga... I gdzież sprawiedliwość? Piekło — czart — a niechby pochłonęły tego, co ją raz na zawsze zhańbił! Ona przecież niewinna. Czy wyrządziła kiedy komu krzywdę? Czy nie robiła sumiennie pokuty za wszystkie grzechy żywota po świętej spowiedzi? A teraz — teraz — oh! i jak jeszcze pragnie uczciwego życia! Ale życie bez Mikołaja — nie! to nad jej siły, to być nie może... Taką to *jucha*, że jak okiem mrugnie, palcem kiwnie, Maryśka w ogień skoczyć by musiała...

Wie to dobrze Mikołaj, i używa życia. Hej! dolaż to słodka, gdy człowiek ma olej w głowie, grosz w kieszeni i ładny buziak! Buziak *fajny* to grunt. Znalazła się Maryśka — wysmienicie. Gdyby nie ona — Mikołaj inną by wyszukał. Wie on bardzo dobrze, że ładna dziewczka — to karczma. Więc jazda...

I kontent ze swej filozofii murarz wąsa pokręcał i pozwalał sobie wszelakich rozkoszy. Co-

dzień kielbasa, piwo, herbata. Maryśka dzielnie mu sekundowała, a on łaskotał ją, aż tarzała się i droczył wesoło. O ożenku nie wspominała kobiątka, wiedziona nadzieją, iż z czasem przywiąże się do niej i przy ołtarzu zapieczętuje stosunek, jemu zaś ani to w głowie nie powstało. Pięknieby człowiek na tem wyszedł, gdyby się żenił z każdą kochanką. W takim razie, on, eks-kapral austriacki, co w każdej kwaterze miał samiecę, robotnik wędrowny, który co kilka dni w lecie mieniał robotnice przy budowie, czeredy bab prowadziłby chyba za sobą. Furda, nad tem głowy sobie nikt nie łamie...

Ot, przeszło i lato, gładko, smacznie, jak chleb z masłem. Paradowanie po mieście i szyneczek — to program niedzieli, a zresztą przepędzali wieczory w domu. Spełniali razem obowiązki rodzicielskie względem Michasia, t. j. zapychali mu gębę, gdy za dużo już *trajkotał*, a czasem i nos mu ocierali. W lecie przesiadywali nieraz na swej przyzbie, a wśród ciszy wieczornej dolatywał ich zapach zboża, siana, to rzechotanie żab z pobliskiego stawu, lub ptaków trele. Księżyc usposabiał ruskie ich natury bardzo sentymentalnie. Mikołaj wydobywał wówczas nieocenioną harmonikę, i jął melancholijne kawałki wygrywać, a Maryśka śpiewała, trawestując na swoją

polsko-ruską gwara i przeciągając z akcentem wielkiej czułości zakończenie starej pieśni: «Wezmę ja kontusz...»

*A gdy pomrzemo, a gdy pomrzemo,
Skażemo sobi,
Złoti lontery, taj sribnyj numery
Wyryć na grobi.*

* * *

*A chto bedzie jechał, abo chodził pizsko,
Ten powi sobi:
Co to za kochanie, co za miłowanie
Leży w tym grobi.*

Cieszyli się oboje życiem, młodością, sytością żołądków, a i Michaś przebierał nóżkami.

Powoli, powoli zawiąły wiatry i słoty nastaly, nie można już było wysiadywać na przyzbie i patrząc w niebo, nucić o gwiazdeczce, co błyszcziała. W małej izdebce duszno, ciasno, smrodliwie, tam już i humoru i swobody nie ma. Tembardziej, że i grosza nie dostaje. Budowę przerwano, a po świętach żydowskich znowu nie ma prania. Maryska zaczyna pielgrzymować, żydówki całować po rękach, a Mikołaj w chałupie zaczął się nudzić. Rozróżniaczył się, rozpanoszył, rządził, jak na swoim śmiecisku.

— Teraz — pomyślała Maryska — moja chwila nadeszła.

Teraz *ucapi* go, do ołtarza pociągnie. Podwoiła troskliwość i zachody koło niego. Z psią uległością poddawała się jego kaprysom, spełniała fantazyje. Wyrobiła sobie kredyt u żydówek, zbijała grosz do grosza i jemu przynosiła. On zabierał — i znikał w szynku. Podchmielony, drażniony niewygoda i biedą, panującą w izbie, wszczywał swary, a ona — przekleństwa, potem i poszturkiwania jego przyjmowała cicho i z uśmiechem.

— Niechaj wie — medytowała — jak dobrą żonę będzie miał we mnie...

Czasami znajdował Mikołaj chwilową robotę; wybielił pokój, ustawił lub naprawił piec żydowi.

Wówczas pił *na umor*, ale tak zdradliwie, że Maryski nie zawiadamiał.

Ona, zasmakowawszy w dobrym życiu, robiła mu lekkie wymówki, zaczęła go kontrolować. Co prawda, trunek do gustu jej mocno przypadł. Kilkakrotnie dziennie szukała „swego człowieka“ wychylając przy każdej sposobności co się dało, *halba*, *nie halba*, wódka lub *harak*. To potrzebowała Mikołaja, by wodę przyniósł, lub bieliznę porozwieszał, to — aby dziecka przypilnował, gdyż sama musi pójść na wodę. Na stawie znów, o trzaskającym mrozie *harujac* pralnikiem, musiała też połknąć trochę «na rozgrzewkę». Wódka stała się jej dobrą przyjaciółką.

Tak żyjąc dumiała o ślubie i tylko o ślubie. Nie dla niej więcej na świecie nie istniało. A niechaby żydówka «szczekała» o swój grosz, a niechaj «mały bękart», wylegający się wśród bielizny i niechlujstwa, drze się w niebogłoso, jak pies podwórzowy... Aby tylko do ołtarza dociągnąć...

Kipiało wprawdzie w duszy nieraz przeciw Mikołajowi, ale — co baba, to baba, a co chłop — to przecie chłop. Nie odstępowała więc od balii, a stąd odwracała się co chwilka ku Mikołajowi, który — jak i ona — czerwony i spotniały z napitku i gorąca, leżał rozwalony na łóżku, w niebieskim spencerku i hajdawerach, z cygarem w ustach.

Patrzała nań, śpiewała kołomyjki i przekomarzała się wesoło.

Jedno z takich przekomarzań się miało bardzo smutny koniec.

Mikołaj trzasnął ją siarczyście w gębę, ona rzuciła mu pralnik w głowę. Wówczas kopnął ją potężnie nogą, aż się zatoczyła.

Tego samego wieczora wydała na świat płód poroniony.

Nad ranem, gdy jęczała jeszcze w ciężkich boleściach, wszedł Mikołaj, porządnie „schlapany“. Wyrzucił ze skrzyni wszystkie swoje ruchomości do prześcieradła, zawiązał i skierował się ku drzwiom.

Z tapczanu świeciła się ku niemu para oczu, w gorączce, w przerażeniu.

— Mikołaj! — zabrzmiał cichy jęk.

— A pocałuj byka... — odmruknął niewyraźnie i głośniejsz burknął:

— Abo co mi to za niewola u ciebie służyć? Gwałtownie zatrzaskał drzwi za sobą.

Maryśka więcej go na oczy nie widziała. Jak przyszedł, tak znikł z gromadą wędrujących pod wiosnę murarzy.





VII



«Hotelu Paryskim», będącym jedną z głównych ozdób Lipnik, miasta, położonego o blisko trzydzieści mil od teatru wyżej opisanych wypadków, zajęła pani Jadwiga duży pokój, gdzie się ulokowała wraz z dziećmi. W dwóch kufrach mieścił się cały jej dobytek, złożony przeważnie z toalet i rzeczy, odziedziczonych po rodzicach; urządzenie dawniejszego mieszkania, jak i wszystko, co nie było prywatną jej własnością, została w Ostrogu do rozporządzenia adwokata męzowskiego.

Pierwszą czynnością, po nakarmieniu dzieci w niewygodnej i brudnej stancyjce hotelowej, było zażądanie od kelnera, aby jej przyprowadził agenta bióra wywiadowczego.

Kelner, wysoki, tęgi drab, eks-frajter austriacki, spojrział na nią wzrokiem, pełnym niepokoju i znaków zapytania. Nie wiedział, co to jest «ajent», a co «bióro wywiadowcze», widział jednak młodą, piękną, czarno ubraną panią, wyglądającą zupełnie jak hrabina z Przegródka, zrozumiał jej słowa : «tylko prędko, a nagrodzę za fałtę», więc pobiegł po rozum do swego pana, do samego właściciela sławetnego hotelu.

Za chwilę dało się słyszeć pukanie do „numeru“.

— Proszę!

Jegomość niepospolicie okazałej tuszy, przyobleczony w długi, zatłuszczony z przodu, zabłocony z tyłu kaftan; ozdobiony jarmułką, nosem kartoflowym i dwoma ogonkami, trzęsącemi się w bezustannym ruchu między uszami a nosem, stanął przed Jadwigą.

Na białej jej twarzy odbił się wyraz niesmaku. Nigdy delikatna ta pani nie miała do czynienia z takimi indywiduami.

— Czego pan chce? — zapytała stanąwszy przed łóżkiem, na którym oboje dzieci, zmęczone widocznie podróżą, smacznie spały.

— *Jezdem* gospodarz, to jest właściciel *od tego* hotelu.

Jadwiga w pierwszej chwili nie wiedziała, co

ma odpowiedzieć. Nagle uczyła się bardzo zmieszana.

— Proszę siadać! — wyrzekła, wahając się między lekkim ukłonem, a wzgardliwym poruszeniem ramionami.

Gość usiadł, aż krzesło pod nim jęknęło.

— Tylko proszę pana — szepnęła, rzucając trwożliwy wzrok na łóżko, to na swego gościa — tam dzieci śpią. Czego pan sobie życzysz?

— Gadał mój lokaj *od* mojego hotelu... — zaczął gospodarz schrypniętym, jak zardzewiałe zawiasy, tonem.

— Proszę pana — wyrzekła znowu — może trochę ciszej.

Żyd spojrział na nią, kręcąc głową, co jego ogonki wprowadzało w szybki ruch wahadłowy, i kontynuował: — Naco pani *dobrodzika* potrzebuje ajenta? Ja sam *bedy za najlepszego ajenta*...

Pomieszanie Jadwigi wzrosło. Wczoraj tak stanowcza i energiczna, teraz nie mogła się rozmówić z pierwszym człowiekiem, jakiego spotyka w nowem życiu.

— Ale ja nie chcę pana trudzić...

— A co to szkodzi? — odparł gospodarz. — Jak idzie o zarobek...

Młoda pani Zimowiecka uspokoiła się. Nigdy w życiu nie ocierała się wprawdzie o podobne

indywidua, ale wiedziała, że żydzi — to ludzie do wszystkiego, że *on*, (pod tym symbolem rozumiała zawsze pana Kazimierza Zimowieckiego) otaczał się i posługiwał nimi zawsze i wszędzie. Wyrzekła więc ze znacznie większą śmiałością:

— W takim razie dobrze. Wie pan, bardzo być może, że zatrzymam się w tem mieście przez czas dłuższy i chcę się urządzić. Nasamprzód potrzebuję i to jak najprędzej dziewczyny.

— Co? — krzyknął żyd zrywając się z krzesła. Mały Oleś przez sen westchnął.

— Ależ panie! proszę przecież o spokój! Potrzebuję więc dziewczyny, niańki...

Żyd poczerwieniał na twarzy, zmierzył swoją interlokutorkę piorunującym wzrokiem od stóp do głowy i nie odwracając się, splunął przed siebie.

— Tfu! Ja myślał, że pani ma ruble do wymiany, czy *inszy porządny jenteres...* A na cóż agent?

Niewykwintne maniery tego człowieka omal o mdłości nie przyprawiły Jadwigę; przezwyciężyła się jednak:

— Nie, potrzeba mi niańki, a jeśli pan nie może, to przepraszam...

Te słowa jak i cała postawa zrobiły pewne wrażenie na właścicielu Hotelu Paryskiego. Przy-

szło mu także na myśl, że ta pani zatrzyma się u niego dłużej; to usposobiło go bardzo na jej korzyść.

— Ja zaraz tu pani *będę przysłać* faktorów — rzucił jej na odchodnym i kiwnąwszy protekcyjonalnie głową, wyszedł.

Jadwiga została sama. Westchnęła i wciągnęła ciężkie, jakby wyziewami potu i tabaki przepełnione powietrze, panujące w tej izdebce. Czowała się słabą i zmęczoną, oparła więc głowę o łóżko.

...Byleby dzieciom podróż nie zaszkodziła! — pomyślała i zmierzyła je okiem pełnym miłości. Nagle wzdrygnęła się.

...Na jakim też spią łóżku! — Wczoraj o tym czasie znajdowała się jeszcze w swoim dworku, wśród komfortu, spokoju i porządku, a teraz...

Przyszło jej na myśl, że w tym pokoju na tem łóżku spało wczoraj może Bóg wie jakie indywiduum... żyd może stary...

...Co robić! — Gdybym przynajmniej jutro w innem pomieszkaniu mogła się ulokować! Lecz jakżeż to?... A tymczasem... Bóg wie, na co dzieci się narażają, albo poprostu zarażają.

To skojarzenie myśli zabłysło w jej mózgu jak piorun. Zerwała się z łóżka.

...Wogóle tyle niewygód, tyle niebezpieczeństw. Sama, nie mając pojęcia o pływaniu, rzuca się w spienione morze życia, i śmie jeszcze dzieci wziąć na barki. Zuchwałość, zgroza! Jak ona mogła taką odpowiedzialność... Tam w Ostrogu...

Wspomnienie Ostroga działa na nią, jak prąd wody na kipiączkę. W jednej chwili uspokaja się.

...Tam pozostać? Za nic w świecie.

Trzeba być racjonalną, a przesada, to antyteza praktyczności — дума, usiadłszy znów na łóżku. — Pocóż w tak nienaturalnem oświetleniu wyobrażać sobie sytuacją. Muszę się w niej rozpatrzyć. Przedewszystkiem nie jest już tam... przy nim. Znajduje się w Lipnikach, a lepszego wyboru zrobić przecież nie mogła. Nie zna wprawdzie tego miejsca, ale wyczytała kiedyś w korespondencji jakiegoś pisma o ślicznem jego położeniu u stóp Karpat, o otaczających je lasach szpilkowych, o taniości życia. Teraz stosunki te poznać i praktycznie zużytkować...

Te i tym podobne »praktyczne« myśli zaczynają spokojnie krążyć w jej głowie, która równocześnie schyla się coraz niżej na piersi, snać umorzona znużeniem i ciszą.

Pani Jadwiga o życiu rzeczywistem, o jego potrzebach, warunkach i komplikacjach najmniejszego niema pojęcia. Od niemowlęctwa

do ostatnich prawie czasów noszono ją na rękach. Inni wprowadzali ją zawsze w apartamenta piękne, w atmosferę sztuczną; inni robili i przynosili jej żywność do ust. Dla niej nie istnieli nawet rzemieślnicy, tylko gotowe składy toalet, w których przebierała do woli, kierując się li względem, czy co dobrze leży, a o cenie nie zgoła nie wiedząc. Dla niej nie istniały czynsz i najem, tylko piętra całe gotowe, czy dworki, przestronne, jasne, wytworne, wymagające tylko pięknych garniturów mebli, obrazów, dywanów, a od tego przecie wielkie magazyny. Dla niej nie istniały trudy gospodarcze; od tego przecie gospodyni, zawierająca umowę z wszystkimi dostawcami, z personelem służbowym, dysponująca w szpiźarni, w kuchni. Cała ta wielka, dziwna, huczająca maszyna, zwana życiem realnem, była dotąd daleką od jedynaczki pana radcy, od żony właściciela Zimowic; bo jakżeż? maszyna ta wre i huczy od wschodu słońca, a Jadwiga do dziesiątej spi lub marzy w sypialni; maszynę tę trzeba dozorować, czyścić, nasycać węglem, węgiel brudny, a ręce Jadwigi za delikatne, za wątle. Maszyna ta absorbuje człowieka, wymaga nateżenia, uwagi, znajomości skomplikowanej budowy, obliczeń, odpowiedniego żywienia, rządzenia obsługą — a Jadwiga miała przecież do

rozwiązania zadania francuskie, potem problemata toalet balowych, w końcu najrozmaitsze zagadnienia poetyckie, etyczne...

Teraz ciśnięta w wir świata — śmiało i stanowczo rozstrzygnęła kwestyą moralną swojej sytuacji, ale — przy pomocy obfitych nawet pieniędzy, urządzić przytułek dla dzieci — to trochę trudno.

Jadwiga rozważa to wszystko siedząc na krawędzi łóżka, oparta łokciem o stolik, i nie jest świadomą, że głowa jej opada coraz niżej, że oczy się kleją, że rozpamiętywania zmieniają się w majaczenia senne.

- Trzeba być racjonalną! — powiada sobie, ulegając coraz silniej ogarniającej ją senności. — Racjonalną, energiczną, pozytywną...

Nagle zerwała się. Przetarła oczy, pode drzwiami usłyszała gwar, szum, jakby stada gęsi i indyków pokłóconych, i równocześnie dobijania się do drzwi.

Otworzyła i stanęła przed pół tuzinem osób jej płci; stare i młode, odrażające i zgrabne, owinięte chustkami, z pod których ani jeden włos się nie dobywał, opasane fartuszkami, przez które zapewne smalec cedzono, otoczyły ją półkolem, uchwyciły za ręce i naraz — energicznie gestykulując rękoma, nogami i głowami — poczęły wołać:

— Pani *dobrożijko*, pani *dobrożijko*...

— Niech pani pozwoli do mnie...

— Do mnie...

— Do mnie...

— Ja znam *cały* miasto, ja handluję wszystkim... — woła jedna.

— Kury, gęsi, jaja, rzodkiew, masło! — zakrzyzczała druga głośniej.

— To *złożijka* pani *dobrodziejko*... to *złożijka*... od kryminału...

Ponad ten niesforny, niespodziany chór wzbił się jednak cienki, kwilący głosik Stefki z łóżka.

— Jezus, Marya! — zawołała Jadwiga i trzasnawszy drzwiami przyskoczyła.

Dziecko leżało z rozwartymi oczętami i bez łyzy płakało głośno; równocześnie Oleś w ubraniu zeskoczył z łóżka, zapewne rozglądał się już był po pokoju, bo szarpiąc suknię matczyną wołał:

— Mamuś, mamuś! — a gdzie moje *łużecko*, gdzie *koldelka*, m-a-muś!

Poczuł się na obcym miejscu i także wybuchł płaczem.

Jadwiga omal głowy nie straciła.

Chciała przedewszystkiem oddalić wrzawę, co dzieci zapewne przerażała, więc otworzyła drzwi. Zaraz zasypał ją znowu grad wykrzyków.

— Kury, gęsi, jaja, masło..!

— Pani *dobrożijko*... to złodziejka.

Jadwiga szarpnęła za sznur dzwonka, potem wzięła Stefkę na ręce.

Pisk pode drzwiami wzmagał się. Ucichł trochę, gdy wbiegł kelner.

— Kto mi tu naprowadził te żydówki?

— A to przecie faktorki, co pani rozkazała...

Oleś, zapewne wskutek nadmiernego zdziwienia temi niesłychanemi nowościami, przestał płakać.

— Proszę was, mój człowieku, odprawcie je zaraz wszystkie. Wszystkie — zaraz — bo mi dzieci przestraszą.

Teraz kelner drzwi zatrzaskał. a zaraz dał się słyszeć głos jego potężny i energiczny, jakby musztrował dziesiątki piechurów. Zaakompaniowały mu soprany i dyszkanty kobiet, potem nastąpiło gwałtowne tupanie nogami, a może i pięściami, nakoniec ucichło wszystko. Oczyściwszy pobojowisko, wszedł i wyprostował się, jak struna:

— A co pani *tera* rozkaże?

Jadwiga kołysała dziecię jedną ręką, drugą gładziła główkę Olesia, szukając rady i decyzji.

— *Ostała się jeszcze jedna żydówka* — dodał kelner, nie otrzymawszy odpowiedzi. — *Pada, co ma interes do wielmożnej pani...*

Przywołana wślizgnęła się z niskim ukłonem. I ona nie otrzymała odpowiedzi, bo Oleś, mierzący do tej chwili ciekawemi, niebieskiemi oczyma wszystko i wszystkich, teraz rozplakał się już na dobre, a i Stefka mu zawtórowała.

— Słuchajcie! zwróciła się niezmiernie błada Jadwiga do żydówki. — Poskoczcie do sklepu i przynieście jaką zabawkę dziecięcą, tylko prędko... Będzie się Oleś bawił konikiem..?

— *Toniem?* — uśmiechnął się mały wśród łez.

Żydówka, mnąc dziesięcioguldenówkę, wybiegła, a za kwadrans wróciła, ciągnąc za sobą drewniane bydlę, na które Oleś zaraz zaczął się wdrapywać. Poczem znowu wyskoczyła, w sieni spotkała się z kelnerem.

— Jak nikogo nie dopuście do tej pani, to wam dam cały *ryński*... — szepnęła mu na ucho.

Nad wieczorem sprowadziła cały legion dziewcząt i mołodyc. Zalała Jadwigę potokami swej wymowy, zdenerwowała do reszty kuglarskiemi sztuczkami i wykrzykami, odbyła z nią ściśle przegląd i egzamin sprowadzonych egzemplarzy, a jeden z nich, mający czerwoną twarz, grube, popielate kosy i zieloną z czarnemi kwiatami spódnice, a przede wszystkim: duże, poczciwe, śmiejące się oczy, został w godności piastunki. Pani

Zimowiecka wzięła sąsiedni numer hotelowy, i niezmiernie wzruszona i zirytowana, długo w nocy patrzyła na przewracające się w niespokojnym śnie dzieci. Równocześnie była tak osłabiona, iż myśleć nawet nie mogła porządnie.





VIII.

Dzieci spały bardzo niespokojnie, Jadwiga oka od nich przez całą noc nie oderwała.

Noc zaciszna, mącona tylko chrapaniem niańki, sprowadziła w jej umysł także mrok i posepność tylko bez tego spokoju, który wokół panuje; mrok i posepność — a przecież oczy jej otwierają się coraz szerzej i widzą coraz dalej, coraz wyraźniej.. Obrazów tłoczą się masy; wszystkie momenta przeszłości wracają, łączą się z rojami przywidzeń, trudów, udręczeń przyszłości, wytwarzają chaos, w którym sumienie Jadwigi wiruje jak ptak zbłąkany. Zmęczony on lotem dotychczasowym, niema schroniska, łądu, gałązki i drzy: jaki prąd teraz nadciągnie ?

Teraz dopiero, w oddali od narzędzia swych tortur, zadrzała młoda kobieta do głębi. Stan swój i dzieci rozważała dotychczas tylko w stosunku, w porównaniu z mężem. Stosunek ten na razie już rozwiązany, i co potem? Wykoleiła się z form prawidłowego życia, a czy zdoła stworzyć inne, szlachetniejsze, lepsze?

Tutaj ogarnęła ją trwoga. Uczuła się w tej chwili bardzo słabą. Uparty głos, silny jak myśl przędzona włóknami nauk i rozmyślań lat kilku, zaczął jej powtarzać: kto zacz jesteś ty, co się wyłamujesz z ram porządku powszechnego? po co to i na co?

...A przecież nie jestem niczem wyższem ponad pospolitość codzienną — kontynuowała. — Nie miałam siły umysłowej, by przed sześciu laty zrozumieć niższość mego wykształcenia i trybu życia; potem nie miałam siły charakteru, by ustrzedz swą czystość i wolność od pana Zimowieckiego. Narzędziem byłam zawsze, to znaczy że w walce o byt musiałam ulegać i niższe zajmować stanowisko. Że subiektywna moja dążność buntowała się i sięgała wyżej, to rzecz całkiem naturalna; dążyć wysoko, walczyć i nawet ginąć wolno każdemu. Lecz nie wolno pociągać drugich. A ja prowadzę za sobą dwoje dzieci...

Dzieci leżały teraz obok niej, Oleś w łóżku, Stefka w wózku, w cichym śnie pogrążone. Nagle jedno z nich westchnęło głośno raz i drugi raz. Jadwiga usiadła, nachyliła się nad niem. Rozprószyły się jej rozumowania, a natomiast zabłysła myśl: czy Stefka nie chora? Ah! i główkę ma gorącą!

Nie, to tylko przywidzenie. Mała śpi błogo, oddycha regularnie, jak zawsze. Tylko co kilkanaście chwil wyrwa jej się z piersi jęk słaby, a Olesiovi słowo głośne, i tonie w posępnej, czarnej przestrzeni.

...Zapewne wskutek silnych wrażeń i zmęczenia — myśli Jadwiga. Układa się znowu spokojnie i wraca do poprzednich dumań. Próbuje здаwać sobie jasno sprawę z całej przeszłości; analizuje swój charakter, otoczenie, układa różne kombinacje. Wśród nich ukazuje się atoli raptowne ponowne przywidzenie: a gdyby zachorowały?...

Świeże prądy burzy wprawiają ją w wir szalony, prądy rozprężonych nerwów, rozdrażnionej, wybujałej fantazyi. Jadwiga czuje słabnące skrzydła. Schroniska, schroniska!

...Trzeba być racjonalną! szeptce po chwili.

Wyciąga ręce, by uchwycić ten sznur ratunku. Gdzież on? Wicher miota nim, odrzuca go precz.

Jadwiga traci go z przed oczu i staje się pastwą rozognionych uczuć.

Między niemi a refleksją nigdy nie panowała w jej duszy równowaga; teraz — rozjątrzenie, walka.

Zostać tutaj... w Lipnikach, to znaczy zerwać wszystkie mosty, łączące ją ze światem dotychczasowym. Prawda, świat — to kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa!... lecz w nim tory dla przyszłego rozwoju dzieci. Tu zaś, sama będzie żyła podług głosu serca, lecz w antagonizmie ze społeczeństwem. Czy ma do tego prawo? Tak... choćby i miała, czy podołają siły, któremi musi i dzieci obdzielić? A jakżeż ma żyć?

Ach, wierzy ona w swe ideały, całą duszą wierzy, lecz taka ją niemoc opanowuje... Serce ma nadszarpane, oczy osłabione. Czy teraz widzi przed sobą ideał, czy fata morgana?

Jadwiga w tej chwili bardzo cierpi.

Usnęła dopiero nad ranem. Nieruchoma i blada przeleżała godzin kilka.

Obudził ją hałas niezwykły. Usiadła, przetarła oczy i oto, co ją przywitało. Oleś płakał w łóżku, Stefka krzyczała na rękach nowoprzyjętej niańki, która nosowym głosem pieśń jakąś nuciała, a z korytarza ktoś bombardował drzwi zawzięcie.

Zegar wskazywał godzinę dziesiątą.

...Marna, niedołężna ze mnie istota! — wybuchła Jadwiga gorzkiemi dla siebie wyrzutami.

— Toż pani *dobrożijka* kazała mi przyjść o ósmej — zawołała żydówka.

Pomogła „swej pani“ przy toalecie i załatwieniu spraw gospodarczych. Było ich tyle i tak kłopotliwych, iż Jadwiga rady sobie dać nie mogła. Siedziała w szlafroku, pieściła, uspakajała dzieci i rozmyślała o śniadaniu. Wszystko dla niej było tu obcem i trudnem; dusiło ją powietrze, brzydziła się przyniesioną wodą. Niedawno było jej jeszcze bardzo źle, ale dumiała o tem do dziesiątej rano na miękkiej pościeli, popijając przytem czekoladę wyborną. Czuła się więźniem, lecz siedziała w aksamitnym fotelu i pieściła się rozkosznie z dzieciątkiem. Zresztą wiedziała, jakim będzie dziś, takim korytem popłynie jutro... w każdym razie innem, niż ścieki zwykłego...

Teraz — proza życia uchwyciła ją swoim kołem zębiastem. Jadwiga musi biegać z kąta do kąta w szczupłych pokoikach, wydawać polecenia i błagać Olesia, by się zadawał świeżem mlekiem; stojąco wychyla własną szklanke a myślą spoczywa na stu innych przedmiotach; a wśród ścisku i krzyku i nieporządku, znużona i zde-

nerwowana, gdy usiadła na chwilę, by ułożyć program dnia bieżącego, załamuje ręce:

— Co ja pocznę, co ja pocznę?

Opanowało ją poczucie niezaradności i osamotnienia.

— Jak mogłam ja na coś takiego się zdecydować! Chciałam wprowadzić w świat swoje dzieci, a sama wielkiem jestem dzieckiem. Gdzie się obrócić, do czego zabrać pierwiej? Zuchwalstwo to z mojej strony, nie — lekkomyślność nie do darowania. Rzucić je tak na pastwę losu — bez opieki, bez przewodnika, gdym sama bezsilna...

Wzięła znowu dzieci na kolana, znowu pocałunki i pieszczoty,

— Mamo, a gdzie Hania? — pyta Oleś
— *Cemu* mama smutna? mamuś, gdzie...

Tych pytań obawiała się Jadwiga najwięcej i pogrążyła się w myślach, czy Oleś nie jest zbyt silnie przywiązany do tamtego domu, do niańki swojej, *do niego...* czy tęsknota ta nie może mu zaszkodzić?

— Proszę pani, już dwunasta godzina! — wyrzekła żydówka.

Dwunasta godzina! I ona jeszcze nie zdecydowana.

Raptownie przyszedł jej do głowy nowy zamiar.. udać się najbliższym pociągiem do Lwowa.

...Tam miasto europejskie, dogodne warunki bytu, znajomości, przyjaciółki... krewni...

Dźwięk tego wyrazu otrzeźwił Jadwigę. Wzdrygnęła się, jak na widok czego brudnego. Uczuła w sobie głęboką odrazę do wszystkich, do znajomych, do członków rodziny. Nie, nie mogłaby rozmówić się z nimi, zamieszkać... ale ludzie...

Ludzie ?

Wstręt, poprostu fizyczny opanował ją w tej chwili. Cofnęła się, jakby przed kimś uciekała. Istotnie, uciec, uciec od ludzi, zdala od nich, dokądkolwiek, byle nie wraz z nimi! Nie, stanowczo nie mogłaby teraz żyć z ludźmi; nie cierpi ich, nie zniesie zetknięcia. Nie wie sama dobrze, skąd ta odraza, nie potrafi atoli jej przetrwać.

Nagle zaszumiało jej w uszach. Głos ze stu gardzieli zabrzmiał: Niech żyje dom Zimowieckich, floreat, crescat! A przed nią — blada, arystokratyczna twarz stryjenki. Składa ona angielski pocałunek na czole Jadwigi i cedzi:

— Jakżeż się masz, *ma chere*? A Kazik co porabia? Wesoly chłopiec, moje dziecko, przyjemny chłopiec... prawda?

Jadwiga złożyła tak usta, jakby chciała zgrzytnąć. Równocześnie uczuła napływ świeżej, nerwowej energii.

Ubrała się gorączkowo i zapytała faktorkę o mieszkanie w mieście.

— Oj, i tysiąc! zawołała żydówka.

Pod wpływem rozbudzonych uczuć, Jadwiga była już spokojną i poważną.

— Chcę mieszkania przedewszystkiem nie w śródmieściu — mówiła — i na porządnej ulicy. Ale o co najwięcej mi się rozchodzi, to o to, ażeby mieszkanie było na zdrowem miejscu, i otoczone ogródkiem.

Faktorka zamysliła się, skubiąc fartuch.

— Jest, jest! — zawołała. — I jeszcze jakie!
Extra fein.

Tu wygłosiła hymn na cześć dworku, leżącego na wzgórku wśród małego sadu. Mieszkał tam do uiedawna pan *kumisarz*, obecnie przeniesiony.

Jadwiga słuchała z zajęciem.

— Ale — kończyła żydówka — tam tylko *połowina* do wynajęcia.

Mianowicie dworek należy do starej pani sekretarzowej, która tam mieszka przy córce, drugą część, złożoną z trzech bardzo porządných pokojów i osobnej kuchni, puszcza w najem.

Jadwiga zamysliła się głęboko. Znowu odczuła brak zmysłu praktycznego, nie wiedziała co począć.

— Niech wielmożna pani oglądnie! — nalegała faktorka, a po chwili dodała z szeptem tajemniczym.

— Z przeproszeniem wielmożnej pani, czy pani będzie sama czy z mężem?

— Sama.

— No, to akuratnie dobrze! Tam zięć pani sekretarzowej i cała familia, bardzo godni, bardzo godni państwo! A jakże wielmożna pani chce mieszkać w domu, gdzie niema żadnego mężczyzny... Broń Boże nieszczęście, złodziej, ogień...

Konferencya skończona, trzeba tylko obejrzyć lokal. Tu nowy kłopot. Co tymczasem poczną dzieci?

Ha, trzeba było się zgodzić na zostawienie ich w małym ogródku miejskim pod opieką niańki, lecz Olesia udobruchać wprzódę czekoladkami.

Dzień był ciepły, słoneczny i wesoły, jakby w lipcu. W ogrodzie po zielonym trawniku maszerowała cała armia łokciowej wysokości bohaterów, często w sukienkach; naprzeciwko na ławkach rozsiadały się wygodnie ich anielice-stróżowe, zabawiając się historyjami — zapewne o swych państwach. Oleś stanął — z uwielbieniem

wpatrzył się w ogromnego, czternastoletniego jenerała, który z obnażoną szablą prowadził swój oddział do ataku na szereg krzewów karłowatych. Jadwiga uspokojona zostawiła go w kontemplacyi cichego podziwu, z dziesięć jeszcze razy zaleciła Kaśce, by nie stała ze Stefką na słońcu i czekała na jej powrót — poczem poszła za przewodniczką.

Arystokratyczna ludność Lipnik, prezentująca właśnie teraz toalety swe i najpiękniejsze uśmiechy w alejach miejskich, oprowadziła wzrokiem naprężonej ciekawości młodą, a całkiem nieznaną sobie damę, która szybkim krokiem obok nich przeszła. Młoda ta dama była bardzo piękna. Ciemna i pojedyncza mantyla uwydatniała smukłą jej figurę, nieco za szczupłą, lecz zbudowaną majestatycznie i zgrabnie. Twarz miała bladą, zanadto nawet bladą, o drobnych delikatnych rysach, oczy spuszczone, długimi osłonięte rzęsami. Można było wziąć ją za młodziutką pаниenkę, gdyby nie wyraz oblicza surowy i zamysłony tak jakoś, iż na pierwszy rzut oka można było odgadnąć, że wie już, co to powaga życia. Można było wziąć ją za ekonomównę, guwernantkę z okolicy, lecz krytycznemu oku Lipniczanek nie uszedł kapelusz z drogiej słomki i o prawdziwych piórach strusich, wprost chyba ze Lwowa

sprowadzony i kulczyki świecące blaskiem szlachetnych soliterów. Ale przede wszystkim było w niej coś... w jej postawie gibkiej a dumnej, w chodzie elastycznym, w obliczu zaciemnionem lecz delikatnem i imponującym, coś... co żadnej z obecnych dam spokojnie dzisiaj obiadu zjeść nie pozwoliło. Zebrały się natychmiast na sejmik, a nieznajoma pospieszyła.

Była na wąskiej uliczce, wznoszącej się łagodnie w górę między dwoma szeregami parkanów, z za których zwieszały się gałęzie pod ciężarem złożonych słońcem gruszek, i świeciły mieszkania urzędnicze, słomą obszyte, a uwieńczone dzikiem winem, bluszczem lub kwiatami. Jeden taki domek znajdował się także na szczycie pagórka, biały, cichy, starej struktury, witający gankiem staropolskim, przed którym rozłożyła się wspaniale ogromna lipa, mogąca śmiało zastąpić kilka altanek.

Domek przyjemne robił wrażenie.

Żydówka weszła, Jadwiga z ganku nader piękny miała widok. Przed jej oczyma stoma barwami mieniący się ogród, jak szachownica, dalej korony drzew staczające się ze spadzistym pagórkiem, coraz niższe i niższe, nakoniec mała panorama, Lipniki, wieże kościelne, szczyty domów nieregularne, fantastyczne linie ulic, czarne, kro-

czące szybko sylwetki ludzi — a wszystko to pod lazurowym baldachimem, promieniejącym i wesołym.

— Czy pani sobie życzy obejrzeć mieszkanie?
— rozległ się tuż cichy głos.

Przed Jadwigą stała kobieta średniego wzrostu i dziwnego wyglądu. Miała twarz bladą i nalaną, bez krwi i żył, a oczy na wpół przymknięte, twarz mimo to nie chorowitą i nie brzydką. Nosiła włosy ciemno blond gładko z obu stron uczesane, co ją czyniło znacznie starszą, suknię perkalikową w jasne pasy i mówiła monotonnym, nieśmiałym głosem.

— To pani *profesorka* — szepnęła faktorka.

Więc to córka pani domu! Chodziła cicho i bojaźliwie na palcach, cisza jakaś i apatya leżała w całej jej postaci, w oczach, bez rzęs i bez blasku; objawiała się w każdym ruchu, we wrażeniu, jakie robiła.

— Służę!

Weszły do przedsionku.

— Tylko prosiłabym panią o spokój, bo moja matka chora — dodała nieśmiałym swym tonem.

Jadwiga cofnęła się.

— W takim razie...

— Ale niema niebezpieczeństwa... to przejdzie... Proszę bardzo.

— To głupstwo! — szepnęła żydówka, gdy pani domu naprzód poszła. — Stara lubi się tak bawić... dom zato *doskonałny*...

Weszły do wielkiego pokoju, umeblowanego z krzyczącą pretensjonalnością.

— Proszę, bardzo proszę bliżej! dał się słyszeć głos z kąta, ostry głos jakiś. — Bardzo mi będzie przyjemnie...

Jadwiga stanęła przed wielkim fotelem, na którym dostrzegła naprzód dużą szarą masę, a potem coś prawdziwie cudaczego. Siedziała tam kobieta mogąca liczyć lat z pięćdziesiąt, o ile można było sądzić z ogromnego wzrostu i odpowiedniej tuszy. Na to wskazywał tors, rozsadzający jedwabny stanik i barki szerokie, których tragarz mógłby pozazdrościć i twarz... twarz czerwona i mięsista, o wielkim nosie i energicznie skrojonych ustach. Kobieta ta siedziała do połowy okryta angielskim pledem, oparta o poręcz, z oczyma lekko przymrużonemi, a ubrana tak dziwacznie, że Jadwiga odwróciła się z rodzajem przestachu. Dyamentowe szpilki tkwiły w czarnej jej peruce, dyamentowe ogromne kolce — w uszach, dyamentowa brosza świeciła się pod potrójnym podbródkiem, a trochę niżej — gruby, ciężki łańcuch złoty od zegarka. Ręce miała obie rozłożone na kolanach, jak egipskie bóstwa, a wszystkie

palce błyszczwały, niby kolekcya najrozmaitszych pierścionków i kamieni.

Jadwiga przystanąła, nie mogąc słowa wymówić.

— Widzi kochana pani... jestem chora, ciężko chora... — zajęknęła dama na fotelu.

Epitet »kochana« i ton skrzeczący wprawiły panią Zimowiecką w jeszcze większe zdumienie.

-- Odpust boży! kara niebios... — ciągnęła sekretarzowa. — Tak już gasnę powoli... i cicho od lat kilku... aż raz Pan mnie powoła... do swej chwały... hu, hu, hu...

Przymróżyla oczy i z pod nich, jak błysk stali, padło egzaminujące spojrzenie na przybyłą.

— Mamo! — zaczęła profesorowa głosem bojaźliwego dziewczęcia. — Pani chce wynająć mieszkanie...

— Ah! to dobrze... to bardzo dobrze. Ja się już tak martwiła... mieszkanie wolne... strata trzystu reńskich, dla nas biednych ludzi... hu, hu, hu... Bóg nam panią zesłał...

Przy słowie »trzystu« rozwarła szerzej źrenice, śledząc jakie to uczyni wrażenie. Jadwiga ogłądała się niespokojnie.

— Trzysta reńskich? co za trzysta? jakie trzysta? za co trzysta? — zaczęła żydówka krzykliwie.

Sekretarzowa nie pozwoliła jej dokończyć.

— Masz dziecko klucze... i oprowadź panią wszędzie... masz!

Stękając i jęcząc, wyjęła z pod pledu pęk kluczy i podała córce, która dotąd stała bez ruchu, jakby w ciągłej trwodze.

— A wróć mi tu zaraz... Justyno... pamiętaj!

Pani Justyna wyszła z Jadwigą do dalszych pokoi, a faktorka nanowo zaczęła:

— Co to pani mówi trzysta? Jakie trzysta? zaco trzysta? Toż pan *kumisarz* płacił *ino* dwieście..? ha?

— A Josiowa co mi tu interesa będziesz psuła? — wykrzyknęła sekretarzowa, która raptownie nabrała siły i energii.

— Bo ja faktorka tej pani...

— Alboż ja od was chcę za darmo?

Wszczęły się układy. Sekretarzowa gestykulowała, krzyczała, trzęsła żydówką, jakby jej żelazne przybyło zdrowie.

— Proszę mamy... oto klucze! — zameldowała Justyna pokornie, wróciwszy z oględzin.

— Oj... Boże mój... i jakże się pani zdecydowała? — wystękała sekretarzowa, odrzuciwszy w tył głowę, jak mdlejąca.

Wraz z faktorką zaczęła Jadwigę niestrudzenie nagabywać, ogłuszać, dręczyć.

Jadwiga dała zadatek.



IX

Pani «sekretarzowa» należała do osobliwości miasta Lipnik i okolicy. Przed piętnastu laty była żoną ex-podoficera, późniejszego kancelisty, czy dyurnisty przy starostwie; po jego śmierci pobierała 31 reńskich w. a. miesięcznej pensyi, i prowadziła bardzo nędzny żywot; dawniejsza pono garderobiana czy kucharka — miała znaczne pretensye i maniery, a dużo długów; byłaby też smutnie skończyła, gdyby nie córka Justyna. Dobrze to było i nieszczęśliwe dziewczę; musztrowane i katowane przez ojca, który do niej stosował pedagogikę koszarową; bite i zahukane przez matkę, która nią się zawsze i wszędzie wyręczała — wyrosła na limfatyczną, pokorną i bojaźliwą istotę bez własnej myśli i woli. Poznał ją taką

świeżo przybyły nauczyciel, a właściwie praktykant, mający również 30 złr. miesięcznie, a nie znajomości życia ni zmysłu praktycznego dla urzędzenia się na swej posiadzie. Zaproszony kilkakrotnie przez wdowę — połączył się rychło z jej córką, swoje 30 złr. z jej równobrzmiącą sumą, i zaczęli egzystencją w troje — potem w czworo — w pięcioro — ale zawsze pod biczem żelaznych rządów pani eks-dyurnistki.

Żyli wówczas wszyscy w dwóch pokoikach komornem, trybem rzemieślników, Wdowa, nie marząca nawet o wstępie do lepszego towarzystwa w mieście, była za pyszna, by się zbliżyć do sfer rękodzielników; nauczyciel zajęty szkołą, lekcjami i ślęceniem nad stosem zeszytów w nocy; Justyna ciągle traktowana jak dziecko niegrzeczne, niańcząca mnożące się z każdym rokiem drobiazgi, pełniła funkcyę stróżowej, szwaczki i kucharki dla całego domu. Matka dysponowała. Rosła, barczysta, czerwona, grenadyer w spódnicy, wywierała nietylko na córkę — ta nigdy głośno w jej obecności się nie odzywała — lecz i na zięcia terroryzm straszliwy; nierzadko gwałt fizyczny. Wolne chwile przepędzała w kościele, przy konfesyonałach, żadnego nie opuszczając nabożeństwa.

Było tak przez lat pięć od zamęzcia córki.

Szóstego roku od tej daty, a w ośm lat po owdowieniu, spotkało eks-dyurnistkę wielkie, nie spodziane szczęście. Los, darowany jej ongi przez męża, wygrał znaczną sumę.

Ile — tego nikt w mieście nie wiedział. Mówili o kilku tysiącach, mówili i o krociach. W każdym razie suma musiała być wielką; niebawem bowiem odkupiła eks-dyurniska dworek od jakiegoś szlachcica, umeblowała go wysoce arystokratycznie i zaczęła paradować po mieście w atłasach, jedwabiach i dyamentach niesłychanych.

Miasto było zrewoltowane. Rok nie minął, a nieznana dawniej lub pogardzana wdowa, stała się znakomitością, ba, jedną z pierwszych, najczcigodniejszych matron lipnikowskich. Damy wszystkie zaznajomiły się z nią w sposób tak prosty i naturalny, jakby to było potrzebą serc ich. Jedna rozmówiła się z nią w kościele, po raz pierwszy od lat dziesięciu dostrzegłszy jej obecność; wyszły razem na ulicę, tu spotkały się ze znajomą, następowaly prezentacye, zaproszenia, herbatka, rewizyta; słowem pani Koczkowiczowa — zaawansowana nagle na sekretarzędobrodziejkę — zaczęła przyjmować, wieczorki wydawać, a rychło, z wrodzoną sobie energią, ujęła w ręce tysiąc zaplątanych nici wszystkich

intryg, plotek, koteryj lokalnych i jęła nimi kierować.

I w domu zmieniło się jej postępowanie. Nie dawała córce więcej niż ongi na życie ni na toalety, a dla siebie jedną przyjęła służbę; nie dręczyła atoli, nie dopuszczała się gwałtów, jak dawniej. Przybrała łagodne ruchy, uśmiechy słodkie, ale na każdą wymówkę, na każde skrzywienie odpowiadała:

— A zresztą, jak chcecie, moje dzieci, to się od was wyprowadzę.

Znaczyło to: pójdźcie precz z mego domu i zapomnijcie o sukcesyi.

Na takie dictum serce zamierało w biednym nauczycielu, a pani Justyna — obojętnie przyjmowała tak nagłe szczęście swej rodzicielki, jak i jej łajanie.

Znowu kilka lat przeszło, ale panowanie pani Koczkowiczowej nie utwierdzało się, owszem, — inteligencya, pani prezesowa, pocztmistrzyni, sędzina, komornikowa i wiele innych dam przyszły do przekonania, że «stara jędza» (było to poufale przezwisko zacnej eks-dyurnistki) jest ordynarną i komiczną figurą; zaś mężowie wcale nie po cichu narzekali na lichwiarskie procenta, jakie sobie kazała płacić za drobne pożyczki «z grzeczności»...

Od czegoż jednak spryt i zmyślność? U mężczyzny są te dary talentem, u kobiety rzeczą pospolitą. Sekretarzowa uciekła się do środków iście niezwyłych, jak niezwykłemi były jej uzdolnienia i koleje. Od czasu jak drogie przyjaciółki zaczęły ją zaniedbywać, wpadała ona peryodycznie, co dwa, trzy miesiące w ciężką niemoc. Żaden lekarz nie mógł jej określić, faktem jednak jest, że biedaczka jęczała, skarżyła się, płaciła honorarya, więc zalecano jej spokój, odpoczynek, unikanie wzruszeń i t. p. W takie dni siadywała w wielkim fotelu, obwieszona najkosztowniejszemi swemi klejnotami, a bliżsi i dalsi znajomi uważali sobie za dobry uczynek odwiedzenie chorej, która wówczas najchętniej rozmawiała o testamentach, zapisach, fundacyach, w ten sposób przeciągała czasy swej rejeneyi i nie schodziła z pamięci «towarzystwa».

Jadwiga trafiła do pani Koczkowiczowej także w dzień jej choroby. Bez długiego namysłu zapłaciła czynsz za pół roku, gdyż mieszkanie, szczególnie położenie jego, tak zdrowe dla dzieci, a tak mające widok poetyczny, podobało się jej niepospolicie.

Po południu rozpakowywała swoje kufry, a w salonie pani Koczkowiczowej siedziało już dzie-

sieć reprezentantek śmietanki lipnikowskiej. Dziwna — wszystkie przybywszy wiedziały już, że piękna nieznajoma wynajęła drugą część dworku, jak wygląda, jak się nosi i jak się nazywają jej dzieci.

Sekretarzowa prezentowała się majestatycznie, nadęta, błyszcząca, sapiąc jak miech. Po czerwonych jej policzkach pot spływał, gorąco bo dławilo ją, a i pledy i śruby sznurówki ścisnęły ją, ale to jej dodawało uroku męczennicy.

Naprzeciwko niej siedziała pani komornikowa, mała, dychawiczna, grubo utynkowana osóбка z trzema swemi córkami. Na dalszych krzesłach: młodziutka, o zgrabnym nosku i figlarnych oczach adjunktowa, następnie poważna, o śladach piękności jeszcze nieminionej, dyrektorowa.

— Imaginujcie sobie, *moje* państwo — kończyła sekretarzowa — imienia nawet, imienia jej nie znam.

— Co za tajemniczość, co za zagadki! — krzyknęła adjunktowa. — Doprawdy, zaczynam być ciekawą...

— Ale ja dużo o niej wiem! — z tryumfem wyrzekła komornikowa. — Idę ja w południe ze Stasią, Basią i Joasią — tu podbródkiem wskazała na każdą z trzech córek — i pan aptekarz był z nami — nieprawda panie Adamie? aż tu Basia zauważyła...

— Nie, mamó, to ja zobaczyła pierwsza — zaprotestowała druga córka.

Komornikowa rzuciła na nią wzrok zgorzony.

— Aż tu pada mi: «patrz mamó!» Patrzę ja, patrzy i pan aptekarz — nieprawdaż, panie Adamie?

— Najprawdziwsza prawda, pani dobrodziejko! — ozwał się niski bas.

— Kaśka, co u mnie dawniej była, kołysze maleńkie bobo, śliczne dziecko, śliczne! a obok niej chłopczyk, malec, może dwa, trzy lata liczy. Pytam ja, co to za dzieciaki, a ona powiada, to tej nieznajomej. Aha, mam ją! pomyślałam i pytam więcej. No, teraz wiemy już, że wczoraj przyjechała...

Adjunktowa z pogardą wydeła usteczka.

— I — kończyła komornikowa, zwycięsko mierząc wszystkich — że osiedli się w naszym mieście... sama... właściwie mówiąc... bez męża..!

Ostatnie słowa zaakcentowała znacząco.

Zrobiło to efekt pożądany. Panie zaczęły między sobą szeptać.

-- I nie nosi żałoby...

— I ma drobne dziecko...

— Aha, jestem w domu! — zawołała sekretarzowa, uderzając się w czoło. — Chryste panie!

i tego mi jeszcze brakowało... na stare lata... przy moich cierpieniach, Boże, zmiłuj się...

— Przeczuję bardzo ciekawą awanturkę! — uśmiechnęła się piękna adjunktowa do swoich myśli.

— Ale — wtrącił aptekarz, pan Adam, wysoki, elegancki szatyn, z niebezpiecznymi wąsikami — bądź co bądź przyznać jej trzeba, że jest ładną. Przelotnie tylko ją widziałem...

— Brawo, gratuluję panu! — przerwała ze zgorszeniem komornikowa, przesywając go prawem okiem, a lewem mrugając na najstarszą córeczkę. — Dobry pan masz gust, nie ma co mówić. Wstydź się, panie Adamie. Jak może taka osoba się podobać?

— Osoba, co się skrywa przed światem — dodała poważna dyrektorowa.

— I ma w swej przeszłości zapewne coś... coś... bardzo pikantnego — uzupełniła młodzianka adjunktowa, odchyliwszy powabne usteczka ku panu Adamowi.

— Oh, to rzecz pewna! — zadecydowały wszystkie i pogrążyły się na chwilę w cichej kontemplacji.

-- Eh — uśmiechnął się aptekarz wyniosłe, pokręcając wężą, — panie tylko tak sobie... my, mężczyźni, z innego punktu patrzymy na świat!

Sekretarzowa jęknęła żałośnie.

Wniesiono herbatę. Pani Justyna w cycowej sukni robiła honory, zapraszając szeptem i chodząc na palcach. Ciastka były tłuste, świeże, widocznie spodziewano się dzisiaj gości, a ci, spożywając je, bardzo dowcipne robili miny i uwagi. Pan Adam siedział obok pani adjunktowej, podawał jej i nalewał, i od czasu do czasu rzucał spojrzenie zabójcze, to jakiś frazes francuski. Język ten doprowadzał panią Koczkowiczową do wściekłości; coby to było, gdyby go jeszcze rozumiała; i bezkrwista jej córka zapłonęłaby wzburzeniem, gdyby wiedziała z jakim *esprit*'em pan aptekarz wydrwiwa jej «ruchy niedźwiedzicy» i «cerę łojową» i «bojaźń przed różgą mamy».

— To zresztą stary zwyczaj... poganie poświęcali zawsze cieleta swym bałwanom — zakończył po polsku.

Całe towarzystwo zaczęło śmiać się z zadowoleniem, pani sekretarzowa, jako uprzejma gospodyni, uśmiechnęła się również, a pan Adam hałaśliwy złożył pocałunek na jej pierścionkach. Damy zaczęły się żegnać, pełne czułości i serdecznych życzeń.

— Daj Bóże, byśmy jak najprędzej w zdrowiu widzieli panią kochaną.

— Oh, gdzież mnie starej o tem myśleć...

— Co pani mówisz? Pani nas wszystkie zawstydzają...

— Oh, gdzie tam... Tym razem, panie drogie...

— Żartuje pani droga...

— Do widzenia więc, do widzenia miłego.

— A życzę pani wesołej zabawy z nową sąsiadką! — rzuciła komornikowa, jako zatrutą strzałę z kołczanu złościwości. Z szyderczemi uśmiechami wyszły wszystkie, a pani Koczkowiczowa powtarzała, jakby od dyabła się odżegnywując:

— A broń Boże, broń Boże... cóż znowu!?

Pan Adam na ostatek kiwnął pani Justynie protekcyjonalnie głową, jak pokojówce, i przystanął w sieni, lecz drzwi z przeciwległych pokoi nie otwały się.

Natomiast odchyliły się w kilkanaście minut później. To sekretarzowa zapukała.

Jadwiga patrzeć na krowi jej tułów, na twarz, marszczącą się w uśmiechach tkliwych, nie mogła.

— Nie mogę pani nawet zaprosić — wyrzekła — bo mieszkanie nieumeblowane.

Sekretarzowa dostrzegła już, że dziewczyna kołysała maleństwo w jednym pokoju, a w drugim na podłodze siedział chłopczyk, układając jakieś pudełka; widziała, że młoda jej lokatorka

nosiła pąsowy, jedwabny kaftanik, w czem przesłicznie wyglądała, i że jest bardzo zirytowana.

— To jabym powinna panią przeproszać — rzekła, kłaniając się — że tak panią napastuję. Ale ze mną to już zawsze tak, co na sercu, to na języku. A właśnie przyszło mi na myśl, co też pani pocznie bez mebli i pościeli... Czy pani ma odebrać z kolei?

— Bardzo mało. W każdym razie dziękuję za tyle pamięci. Zastanawiam się teraz, jakby się tu urządzić...

— To pani chce zakupić wszystko?

— Tak.

— Naturalnie, naturalnie, moja pani. Ale, jak pani pozwoli, to dam jedną radę.

— Proszę.

— Niech się pani nie wdaje z temi żydówkami. Toż to pijawki, nie kobiety, bez czci i sumienia. Kara boża ta szarańcza.

— Muszę atoli, inaczej nie dam sobie rady...

— Oh, co też pani mówi! Czy pani między dzikimi zwierzętami? Mój Boże, czy my nie chrześcianie, nie sąsiadki? I owszem, jeżeli pani zechce... bardzo mi będzie przyjemnie... chętnie pójdę z panią...

— Ależ pani cierpiąca.


— Nie to, dzięki Bogu, nie to, przeszło już. Niech pani tylko ceremonii nie robi... I owszem... znam miasto i bardzo mi będzie przyjemnie...

Znowu ukłony i uściski ręki.

— Ach, jeżeli pani taka łaskawa. Byłam właśnie w wielkim kłopotcie, jakby dzieci ułokować... Ale tak... na dziś choćby trochę mebli... pościel bodaj z hotelu.

Za kwadrans oprowadzała pani Koczkowiczowa Jadwigę po wszystkich magazynach miejscowych.





Przeminał tydzień, a gospodarstwo Jadwigi było kompletnie urządzone.

Poraz pierwszy od dawna ułożyła się do snu spokojnie i z pewnem zadowoleniem. Była u siebie — dla siebie, i dla dzieci, o resztę świata nie potrzebowała dbać. Zrobiła raz jeszcze przegląd. Trzy pokoiki dość szczupłe, lecz jasne i wesołe, w południe zalane słońcem, ocienione drzewami, to kwiatami, których kielichy opierały się o niskie okna. Ściany — nagie wprawdzie, ale trudno, na płótna zdobyć się nie może, banalnych zaś sztychów nie cierpi. Za to umeblowanie — szczyt komfortu, na jaki pierwszorzędne skła-

dy Lipnik mogły się zdobyć. Garnitur mahoniowy w saloniku, orzechowe łoże, miękkie szelągi i dywany w sypialni — będącej zarazem pokojem dziecięcym, kredens bardzo oryginalny, a tani, bo rzeźbiony przez miejscowego chłopca — wszystko to miłe dla oka, wygodne, lecz jak skromne, jak odskakujące od brązów i złocień, od tysiąca cacek i ozdób, do jakich wzrok jej był przyzwyczajony... Cóż znowu za myśli! Ze sumy dwudziestu pięciu tysięcy, jakie jej adwokat w Ostrogu wypłacił, naruszyła już trzecią tysiączkę... A co przy tem pracy, kłopotów, zgryzot... Gorączkowo przepędziła cały tydzień, w nerwowem rozdrażnieniu. Gdyby nie poczciwa sekretarzowa — nie byłaby sobie dała rady. Czerpała wprawdzie z otwartej kasy, przelewała grosz w ręce całej armii kupców, sług i dostawców, ale obarczona temi zajęciami, a magnetyzowana ciągle przez dzieci, ani chwili nie miała dla siebie, dla rozmyślań. Obecnie czuje upadek wszystkich sił fizycznych, nogi jej nad wieczorem tak ocieężały, iż chodzić nie mogła. Nie to atoli w porównaniu ze spokojem wewnętrznym.

— Wolna-m! — powtarza i usypia, zwiesiwszy rękę na brzeg stojącej tuż obok kołyski Stefki.

— Wolna-m! — wymawia rano po śnie ka-

miennym. Zarumieniona ze snu, z kołdrą nawpół odrzuconą, świeci złotawym blaskiem ciała na białej pościeli, wonieje, jak łono wiosny. Wyciąga ramiona, przeciera oczy — Stefki nie ma. Zapewne poszła z nianią do ogrodu. To dobrze. Ta niania — porządna dziewczyna.

Uwagi te przesuwają jej się po głowie leniwie, poczem przeciąga się raz jeszcze, i czuje we wszystkich członkach wielkie osłabienie. Jakby rozsrubowana leży i oddycha głęboko. Co prawda, po tylu mękach z tymi żydami i żydówkami...

Układa białą rękę pod głowę, czarny jej włos rozsypuje się i okrywa ramię swemi sploty. Od hebanowych tych ram odbija twarz... tak szczupła i mizerna, jak dziewczęcia po chorobie. Nie jest to jednak twarz dziewczęcia — czoło jej przetrźnięte dwiema głębokimi bruzdami, zewnętrzna oznaka jasnej niegdyś, pogodnej myśli, rozbitej obecnie, przerwanej... W około ust, skrojonych tak delikatnie i szlachetnie, jakby stworzonych z natury do owiewania całego świata łagodnością i pięknem, do przyjmowania tchnień czułych i woniejących, uformowały się teraz ostre linie...

Nie jest to dwudziestotrzyletnia dama.

Wczoraj o tym czasie była już w fałdzistym penioarze, pieszczona przez Olesia, który ją kochał egzaltowanem wylaniem uczuciowego, a ner-

wowego dziecięcia, obcałowująca drobną twarzączkę, rączki i nóżki malusiej Stefki... dzisiaj nie widzi ich koło siebie, a nie myśli o nich... jest spokojna... całkiem spokojna...

Nie myśli o nich — o niczem w ogóle. Ręce splotła pod głową, a oczy zamglone utkwiała w sufit... Zobojętnienie, bezsilność stępia jej władze rozumowe, mąci i wikła myśli. Przykrego doznaje tylko uczucia, jakby niesmaku w ustach, jakby przywalenia ciężarem, który jej ramiona i nogi ugniata. I to jej zresztą nie obchodzi... spoczywa, chaotycznych, szybko biegnących, szarych jakoś i płytkich doznaje wrażeń, jakby w półśnie... Nie — to nie sen... Widzi bardzo dobrze muchę, spacerującą po suficie, za nią druga, trzecia... ah, to już nie mucha... inny owad... Ale głowa tak cięży... tak zbołała... Czy godzina już późna? Zapewne... Ot, skierować rękę z pod głowy na stolik, gdzie zegarek...

Na to zdecydować się nie może, a równocześnie słyszy w głowie, jakby szum monotony, a przykry: która?.. trzeba zobaczyć i ubrać się...

Zaczyna kręcić się około tego projektu, nieruchoma w swej pozycyi.

Drzwi sypialni otwierają się a Oleś szczebioce już z przedsionka:

— Mamuś, mamusiu, dzień *dobry* mamci! A jakie ładne mam *kwiatuski*!..

Jest już w niebieskiej swej bluzce, z białym, szeroko wyłożonym kołnierzem, a kapelusz wisi mu na szyi. Musiał biegać, bo oczka ma błyszczące i rumieńce, a w rękę mały bukiet z róż i bratków aksamitnych, okrążonych spletem rezedy.

Na twarzy matki słaby zjawił się uśmiech.

— Ślicznie, ślicznie, Olu...

Podnosi się zlekka i oboje ogarnia w uścisku tkliwym.

— A panna Stefania wypła już mleczko! — mówi śpiewnym tonem niania, tuląc do siebie poduszkę z dziecięciem, które do matki wyciągało rączkę. — No, nie można. nie można teraz... mama wstanie, mama ubierze się...

Znowu wypadły wszystkie do ogrodu, a Jadwiga została. Odłożyła bukiet i skrzyżowała ręce. Oh, znużona, bezsilna...

— Proszę pani, nie wydała pani jeszcze na obiad...

To nowoprzyjęta kucharka.

— Alboż tak późno?

— Dziesiąta przecie...

Jadwiga wstrząsnęła się wskutek przypomnienia, że powinna już od trzech godzin być

na nogach; lecz wstała powoli, ociągając się przy toalecie. Chodziła dzień cały nieuczesana, ze spadającymi na szyję grubemi warkoczami i w penioarze, a karmiąc Stefkę, nie całowała jej i nie pieściła.

Nazajutrz to samo, i tak przez tydzień cały.

Chodziła po pokojach w zaniedbanym stroju; sekretarzowej kazała powiedzieć, że nie jest ubrana, i czuła nieprzewyciężony wstręt do ogrodu.

Progu nie przestąpiła przez cały czas. Głowa skłoniła jej się na piersi, twarz stawała się coraz bardziej matową, a oko — osowiałem. Mechanicznie spełniała wszystko, do czego zmuszała ją potrzeba, obojętnie słuchała szczebiotu dzieci, i obok reminiscencyj i pamiątek z najbliższej przeszłości przechodziła tak bezmyślnie, automatycznie, że nie czuła w sobie nawet wyrzutu, nie pojmowała różnicy między tem, co jest, a tem, co być powinno. Ociężałość fizyczna, ale ociężałość, powodująca nieposłuszeństwo ręki, kierowanej wolą do ujęcia jakiegokolwiek przedmiotu; stępienie myśli, nie mogącej się zastanowić nad najważniejszymi i najbliższymi zjawiskami, opanowały ją, przejęły, zmieniły nawet skład i bieg krwi...

Z dawniejszych znajomych niktby jej nie poznał teraz, ona sama straciła skalę samowiedzy.

Jakby to było rzeczą najnaturalniejszą, że jest

zamknięta w małych i nawpół nagich tych pokoi-
kach — jakby byt inny i osoby ongi tak bliskie,
i burze niedawno przebyte były tylko snem od-
ległym — jakby od urodzenia nosiła fartuszek i
kupowała jaja i warzywa od biednych żydówek
— tak żyła obecnie. Wyprostowana i spokojna,
lecz nie podnosząc rzęs z nad oczu, chodziła dzień
cały od pokoju do pokoju, mówiła z dziećmi, nie
modelując łagodnego, równego zawsze głosu —
potem padała na fotel, utkwiała wzrok w pierwszy
lepszy przedmiot i odpoczywała — tak czuła się
znużoną rozmową, zetknięciem się z człowiekiem.
Nad wieczorem ogarniał ją sen ciężki, bezprzyto-
mny, by ją późnem ranem zostawić znowu ocię-
żoną i zgnębioną.

Sprawy sobie ze swego stanu nie zdawała,

Zasłonę ciemną z jej umysłu zerwała Kasia.
Młoda ta dziewczyna, rezolutna i rozumna, przy-
wiązała się do swej pani tak, jak tylko chłopka
potrafi; rządziła się sama w domu, pozyskała
sobie dzieci i od pierwszego dnia objęcia obo-
wiązków baczny ma wzrok na ich matkę.

— Cicho, Olesiu, cicho... — wyrzekła raz, gdy
malec uczepił się kolan matczynych, ciągnąc ją
bezsukutecznie za sobą. — Mama was już nie
kocha...

Te słowa padły na Jadwigę, jak żuźle. Zapiekły, przeszły ją, otworzyła oczy.

Przez chwilę patrzała nawpół przerażona na dzieci, jakby spostrzegła je obecnie po długim niewidzeniu, potem wzięła gorączkowo Olesia na ręce i przyłgnęła do jego twarzyczki.

— Chodźmy, chodźmy, Olesiu...

Wyszła za próg. Było to po obiedzie w piękny dzień październikowy, kiedy słońce, pozwalające ziemi ziębnąć nad ranem i wieczorem, w południe zbiera się i jaskrawsze, gorętsze snopy promieni jej posyła. Liście drzew i kwiaty są zwarzone, mają ostatnie rumieńce, albo żółknieją i kureczą się, jak zawsze przed śmiercią, a od czasu do czasu przeciąga przez ciepłe powietrze wiatr zimny, świszczący, i wprawia w wir zeschłe listki i zblakłą trawę. Jadwiga przystanęła, musiała na chwilę przysłonić oczy ręką, potem rozejrzała się wokoło — na miejscu całkiem sobie obcem. Ogarnięta niewytłómaczonym, odrażającym uczuciem, cofnęła się mimowoli, jakby cierpiała na obawę przestrzeni, jakby za wielkim był wysiłek nóg, lecz mały Oleś trzymał ją za rękę.

Jadwiga dostrzegła w jego oczach coś, czego dawniej nie było, prośbę i bojaźń i żal ciężki... oczy bardzo wymowne, jakby u dziecka niemego

— Ah, — wyrzekła — toż ja tego ogrodu nie znam jeszcze!

— Ja pójdę z mamusią, ja mamusi cały pokażę... — zaczął Oleś i pobiegł, ciągnąc ją za rękę.

Niedawno temu umiała z nim bawić się, jak dziecko z dzieckiem. Umiała zapomnieć o największem cierpieniu i szczerze śmiać się, gdy on się radował; odrzucić precz natrętne myśli i interesować się jego żołnierzem lub bajką. Teraz nogi odmawiały jej posłuszeństwa w biegu z drepzczącym małym. O ucho jej odbijały się jego wykrzyki:

— Widzi mama... tutaj były *gluski*.

— Widzi mama... tu było to *niazdo* z małemi *ptaskami*, com mamie mówił..

Gniazdko? tego nie pamiętała wcale.

— A tutaj — wołał Oleś, wskazując na kolisty trawnik — mamy wojny... Ja już *dwa lazy* miałem bęben...

Jadwiga uczuła wielkie znużenie. Tak dawno nie była na świeżem powietrzu, że obecnie dostała zawrotu głowy; wiatr cokolwiek silniejszy sprawiał jej szum w uszach, drażnił niezmiernie uwrażliwioną skórę; liść, co z nienacka padł na szyję, wywołał w niej tak silne wstrząśnienie nerwowe, że musiała usiąść na najbliższej ławeczce.

Mimowoli zasłoniła twarz dłońmi i na chwilę straciła dzieci z przed oczu; z przed oczu, a równocześnie jakby z pamięci.

Uspokoła się powoli.

— Co to jest, co się ze mną dzieje? — pomyślała po raz pierwszy w Lipnikach. — Czy jestem chora?

Musiało to trwać czas dłuższy.

— Mamo, mamusiu! — usłyszała głosik Olesia.

— Co tam, dziecko?

Przestraszyła się, usłyszawszy dźwięk własnego głosu. Był on jakoś martwy, głuchy.

Oleś patrzył na nią znowu tak dziwnie, jak pierwiej. Coś jemu stać się musiało. Liczy dopiero dwa lata, a jest tak rozwinięty i rozumny, nad swój wiek, nad potrzebę... Lecz zawsze był żywy, roztrzepany, nierzadko grymaśny, obecnie stoi spokojnie, a fiołkowe, wielkie jego oczy patrzą z wyrazem żalosego żdziwienia i strachu i łez...

Jadwiga znowu wzdrygnęła się. Za nią stała dziewczyna, milcząca, posepna, obserwująca ją bacznie.

— Cóż się, na Boga, ze mną dzieje?

Wzięła Olesia na kolana, a Kasi kazała tuż obok usiąść ze Stefką, śpiącą spokojnie. Chciała uśmiechnąć się po dawnemu, rozbawić się, roz-

wiać te mgły, które wyraźnie widzi przed oczyma, i czuje w umyśle, czuje boleśnie, jakby pajęczynę.

— Prawda, Olu, że tu ładnie? — zaczyna.

— Tu bardzo, bardzo ładnie... — dodaje, nie mogąc się zdobyć na nic innego.

Każde swoje słowo słyszała, jakby uszyna drugiej osoby, i ogarniało ją nasamprzód zdumienie, bo głosu własnego nie poznawała.

Potem chciała dalej kontynuować zabawę, lecz zapomniała, o czym była mowa.

Tu opanował ją gniew, gniew nerwowy, wprawiający ją całą w drzenie. Zacięła blade usta, sfaldowała czoło, które układało się w nierówne bruzdy, jakby przyzwyczajone już do łamania się pod wpływem bólu.

— Chora, chora jestem... — skonstatowała za chwilę obiektywnie, jakby ustami drugiej osoby; zmartwiała, jak zawsze w ostatnich czasach. — Chora-m...

Oleś tymczasem zniecierpliwił się, rozgorączkował.

— A, bo mama nic nie wie! — szczebiotał prędko. — Ja się tu *zawse* bawię... Tu *psychodzi* Antoś i Jula, i Mania, i my się bawimy... *lobimy* tutaj *ogłód*...

Oleś więc przebywa tak długo z obcemi dziećmi, a ona nawet o tem nie wie... ona, co przy-

sięgła sobie strzec dzieci więcej, niż własnej żrenicy, czuwać nad ich krokami, dobierać towarzystwa, wpływów odpowiednich...

— Co to za dzieci? — zapytała bezwiednie ostrym tonem.

— To dzieci pani profesorowej — odrzekła niania, — Bawią się z Olesiem dzień cały i my tam do nich chodzimy...

Jadwiga nie wiedziała dobrze, z jakiego powodu, ale serce jej wezbrało nagle uczuciem złości. Była zła na siebie niezmiernie zła... tysiąc zarzutów przebiegło w jednej chwili przez jej sumienie, i jak silny cios wyrwały ją z dotychczasowej równowagi.

— A kto Kasi pozwolił tam chodzić? — zawołała rozdrażniona.

Na dźwięk tych słów Oleś nagle wybuchnął płaczem. Natura tego dziecięcia, wypieszczona i nadezwała, błagająca dotąd niemym wzrokiem o dawną miłość, zaprotestowała gorąco przeciw postępowaniu matki.

To wprowadziło ją po prostu w odurzenie. Rzuciła się przed dzieckiem na kolana, dawna namiętność ozwała się w niej. Rozpalonemi ustami utonęła we włosach jego, w oczętach, powtarzając słodkim, tkliwym tonem:

— Olesiu, Olesiu... co ci jest? dziecko, dziecko moje...

Malec uśmiechnął się wśród łez, klęknął na jej kolanach, ogarnął szyję rączkami. Jej twarz zajaśniała dawnym blaskiem, głębokie ją opanowało uniesienie macierzyńskie.

— Mój aniołku drogi...

Trwało to kilka, czy kilkanaście minut; powoli ręce jej opadły, oko straciło blask gorący, powieki zaciężyły, jakby ją senność ogarniała. Głos w żywej i pieśczośliwej rozmowie zniżał się, opadał, i — sama nie wiedziała, jak i kiedy — umilkł całkiem. Zgnębienie, znużenie rozpostarło się po całym ciele znowu, jakby żyły jej ołowiem płynęły.

Zmierzyła się krytycznym wzrokiem — przestach ją opanował.

Wstała, poszła w ogród; tu raziło ją słońce, kłujące twarz ostremi promieniami, denerwował liści szelest; nakoniec załamała rękę z wyrazem niewymownego bólu.

— Boże, ze mną coś straszego się dzieje!...

Wypowiedziawszy te słowa głośno, owinęła się koło nich myślą i napróżno usiłowała dalej posunąć analizę swego stanu. Nie czuła cierpienia, nie czuła już wyrzutów, ni pragnień, ni tę-

sknoty, a wiedziała, że nie jest już dawniejszą Jadwigą.

— Nie, ja tego nie dopuszczę! — szepnęła, jakby odsuwając kry lodowe, mające ją otoczyć i zamrozić. — Oddałam się widocznie zanadto przynębianiu i smutkowi po rozstaniu z dawnym życiem... Rzecz się już stała... Czyżbym teraz nie miała tyle siły, aby udźwignąć odpowiedzialność, — skutki swego kroku...?

Odpowiedzialność, następstwa — te słowa orzeźwiły ją potrosze. Skierowała się ku domowi.

— Dzieci tam zachodzą... i owszem, może to i dobrze... Ja towarzystwa nie potrzebuję, ale one... Zresztą — sama łacnobym spleśniała w samotności, stetryczeję... Trzeba będzie zbliżyć się do ludzi... zacząć normalne życie... Romantyczką jestem — muszę się stać racjonalną... przystosować do otoczenia...

Stała. Znajdowała się właśnie przed gankiem, a naprzeciwko niej, naokoło stolika pod rozłożystą lipą, siedziało całe towarzystwo. Kilka dam w czarnych, jesiennych kapelusikach, cwikier, stanowiący wraz z wąsami uzbrojenie aptekarza, para dzieciaków, wszystko to zwróciło spojrzenia, jak ostrza sztyletów. Negliż jej i pantofelki poranne o tej porze i w tem miejscu niczyjej nie uszły bacności.

— Dobry wieczór kochanej pani! — zawołała grubym swym głosem pani sekretarzowa, podnosząc się z miejsca.

Jadwidze niedobrze się zrobiło. Skinęła lekko głową i znikła we drzwiach.

Tu nie odpowiedziała kucharce na jakieś zapytanie, przeszła obok dzieci, co rozłożyły się na dywaniku, i padła na fotel. *Musiata* uciec od tych ludzi, musiała zamknąć się w sobie, taki brak siły, taki wstręt do towarzystwa uczuła nagle.

Cóż więc? nic nie wiedziała, gdyż nerwowe wstrząśnienie początkowe zmieniło się zwolna w kamienną, apatyczną jakąś zadumę.

Ciemniało, gdy wstała. Zaczęła się dorozumiewać, w jak strasznym jest stanie.

— We mnie coś zamarło... — wyrzekła szeptem.

Cichy, głęboki, bezbrzeżny smutek opanował całą jej istotę.





XI

Panie, straciwszy nagle z oczu piękną nieznajomą, siedziały przez chwil kilka, jak zdrętwiałe; sekretarzowa po doznanym afrońcie była istnym posągiem apopleksyi.

Pierwsza ona odzyskała mowę.

— — Patrzcie państwo, co to za fladra! — syknęła. — Nie łaskawa odpowiedzieć na moje pozdrowienie i kiwa mi głową, jak hrabianka. Bóg wie, skąd ta jędza — uczciwszy uszy — wylazła, i do mnie zaszła... do mnie, i tak mi się odpłaca... Węza przyjąłam do swego domu!

I reszta gości była zafrapowana, najwięcej jednak pan aptekarz.

— Nie ma co mówić, piękną ma pani loka-

torkę — zauważyła komornikowa. — O czwartej po obiedzie nie zrobiła jeszcze toalety..

— Ale bardzo interesująco wygląda! — wtrąciła pani adjunktowa, strojna w mały, fantazyjny kapelusik, który dużo uroku dodawał kapryśnemu i nieregularnemu jej profilowi. — Taka jakaś błada, rozmarzona tu podeszła, i ma chód, szyk! Założyłabym się, że z bardzo dobrej rodziny pochodzi...

— Hm... hm... — uśmiechnęła się sarkastycznie żona pana poborcy, syna szewca miejscowego. — Wiemy już, co to się dzieje w dobrych familiach.

Komornikowa wstała oburzona.

— Przecie pani nie myśli obrażać porządných domów?

— Ah nie, broń Boże! Myślę tylko o tej arystokracji...

Ponieważ żadnego przedstawiciela z ostatniej kategorii nie było, uszedł poborczyńni jej demokratyzm bezkarnie; zresztą byli wszyscy czem innym zajęci.

— Właśnie, że na arystokratkę mi pachnie!
— ciągnęła dalej adjunktowa. — Uważaliście państwo. jakimi koronkami penioar obszyty?

— Pewnie fałszywe... — rzuciła komornikowa.

— Oh, co to, to już nie! Znam ja się na tem.

Przytem jedwab to już przecie prawdziwy. Nie-
słychanie ciekawa musi być historia...

— A pan, panie aptekarzu, o czem tak mar-
zysz? — zwróciła się ciszej ku panu Adamowi.

— Boję się powiedzieć. Pani okrutnie suro-
wa w swoich pojęciach... moralnych...

— To zależy... — odparła z filuternym uśmie-
szkiem. — Zresztą, rzecz się przecie mnie nie
tyczy...

— Ah, gdyby usta mogły to, co serce..! Ale
obawiam się niedyskrecyi...

— U mnie? Próbuj pan mi co zawierzyć...

— Nawet serce całe...

— Ej, czy ono tam całe..! Kto wie, przez wie-
le lwic już poszarpane...

— Pani! przez jedną tylko...

Skłonił się ku niej i zaczął coś wykladać, ona
uderzyła go lekko parasolką po rękę i oboje śmiać
się zaczęli, podczas gdy na drugim końcu stołu
toczyła się dalej głośna dyskusya.

— Co to za straszliwe tajemnice musi posia-
dać kobieta, która się tak ukrywa... — mówiła
doktorowa o wybitnym typie semickim, kiwając
głową.

— Ona przedewszystkiem wygląda bardzo smut-
na — wtrąciła dyrektorowa. — Musi być cierpiącą...

— Naturalnie! — zaopiniowała komornikowa,

tak zajęta piękną nieznajomą, że nie zwróciła nawet uwagi na bardzo podejrzanę zachowanie się pana Adama wobec adjunktowej, w czym ją wyręczyły jednak córki. Porozumiewały się one minami gęsi przestraszonych, z wyciągniętymi szyjami patrzyły na się i ostrzegały wzajemnie przed niebezpieczeństwem.

— To bardzo łatwe do zrozumienia. Pomyślcie państwo: kobieta młoda, wcale nie brzydka — bo co prawda, to prawda — zamykająca się przed całym światem z drobnymi dziećmi, które zapewne... no, nie są po mężu, bo jego nie ma, ani żałoby po nim...

Tak logiczne rozumowanie zdecydowało kwestyą. Nawet pani Justyna podniosła głowę z nad filizanki i odłożyła ciastko, którem się delectowała, jako specyałem, dostępnym tylko wobec gości. Rybie jej oczy przebiegły od jednej damy do drugiej z oznaką niewymownego zdziwienia.

— I taka osoba do mego domu przywędrowała! — jęknęła sekretarzowa, załamując ręce.

Pobożnem kiwaniem głów zawtórowały jej wszystkie.

Po ich odejściu sekretarzowa, wycalowana najserdeczniej, zadowolona z siebie i z wizyt, jakie w ostatnich czasach tak często odbiera, zawołała:

-- Justysia!

— Co, mamó?

-- A wiele zostało ciastek?

— Zaraz powiem mamie. Raz, dwa... ośm!
Ośm ciastek z konfiturami i trzy sucharki.

--- To piętnaście z kofiturami zjedli! — zauważyła matka z lekkim zmarszczeniem brwi. — Na drugi raz trzeba będzie piec więcej sucharków i takie z makiem... rozumiesz?

— Ja też to mamie zawsze radziłam...

— Schowaj swoje rady dla siebie. Tymczasem weź ciastka i zamknij do mojej szafy.

Oddaliła się, za nią córka z drucianą podstawką w ręku. Wróciła po chwili, złożyła obrus, serwetki i została na miejscu w ciężkich myślach.

O czym myślała ta nierozwinięta istota?

Nasamprzód — myśleć nie umiała wcale. Nie uczono jej tej sztuki, a sama nie miała czasu, ni sposobności do ćwiczeń. Od dzieciństwa do dnia dzisiejszego w tym samym deptaku, chłostana tym samym batogiem, po całodziennem kręceniu się — wpadała w sen żelazny. Mąż nie zmienił tego stanu wcale. Bez wykształcenia i odczytania, zamykana bez towarzystwa w swym kieracie, nie miała uczuć rozbudzonych, ni tęsknot, ni ideałów. Przyjęła swego męża jak przyjmowała

na boże narodzenie suknię świeżą, z pocałowaniem rączki matki, a ograniczony, niedołączony, brzydki i wiecznie zajęty nauczyciel nigdy wrażenia na niej nie robił. Żyła więc dotąd niewinnie i nieświadomie, jak dziecko puszczy.

Dziś usłyszała nagle o kobiecie, co popełniała tak okropne bezceństwa, jak ta nowa lokatorka, i widziała aptekarza, który tak dziwnie patrzył na adjunktową, tak znaczące posyłał jej uśmiechy i odbierał po rękach klapsy. Prawowierna małżonka nauczyciela szkoły ludowej w Lipnikach osłupiała... Ciekawość, chorobliwa ciekawość pensyonarki, rwącej się do zakazanych przez starszych książek. zdjęła biedną jej głowę. Myśli o rozwiązaniu tych zagadek.

Tymczasem furka w ogrodzie skrzypnęła i wszedł mąż jej, niski, niezgrabny, z żółtymi wąsikami człeczyna, z nierozłącznym stosem zeszytów pod pachą. Szedł zgarbiony, rzucił okiem na żonę i pominął ją, jak człowiek, co nie chce tracić czasu, lub nie ma nic do powiedzenia, lecz potem obrócił się i zapytał:

— Justka! mama w domu?

— Jest.

Podszedł ku drzwiom.

— Justysia! — zawołał po raz drugi.

— Co?

— Może masz co do zjedzenia? Chcę pobiegnąć do Micyków, a zostanę zapewne długo, bo osioł jeden z drugim dwójki znowu oberwali...

— Cóż ci dam, jak mama ma klucze...

Nagle podniosła się.

— Chodź, mam coś dla ciebie.

Rozciekawiony pan małżonek podszedł. Ona obejrzała się wokoło, czy nikt nie szpieguje, potem wyjęła z kieszeni dwa ciasteczka.

— Masz... Schowałam dla małych, ale oni się obejdą...

Pan Lucyan uśmiechnął się, jak dziecko.

— A stara?

— No, no, jedz i nie pytaj — odrzekła z bojaźnią nieczystego sumienia.

— Nie, wiesz co? jedno przecie zostawię małym — mruknął nauczyciel, — Niech także skosztują...

Przy ostatnich słowach tej idylli małżeńskiej dał się słyszeć w sadzie hałas, nawoływanie i troje dzieci wypadło z alei: dziewczynka, może sześćioletnia, i o rok niżej posunięte chłopczyki. Mieli wszyscy piaskowe, płócienne ubrania, kwadratowe twarzązki i zadarte nosy.

— Oddaj mi moją część, oddaj! — wołała dziewczynka na średniego brata.

— Ja powiem babci, jak mi nie dasz mego kawałka! — groził najmłodszy, bliski płaczu.

— Co się znowu stało? — zawołała matka apatycznym swym głosem.

— Kucharka Olesia dała nam czekoladę, a Antoś zabrał sobie wszystko — zapiszczała dziewczynka.

Małżonkowie spojrzeli po sobie minami, które miały mówić: aj, aj, aj, co to za luksus!

— Ale masz, masz swój kawałek, ty bekso! — zawołał oskarżony z pogardą.

— Wie mama, ja już wiem, co zrobię z czekoladą! Pójdę do pokoju i sprawię bal lalce!

— Dobrze, a pójdź ty, Antek, także, bo chłodno — odrzekła matka i zaczęła troskliwie zapinać na chłopcu guziki. — Wiele razy mówiłam ci już, żebyś wieczorami nie biegał bez czapki!

Mąż stał przez cały czas w milczeniu, chrupiąc ciastko, które ukradkowo wyciągał z tylnej kieszeni kawałkami, by go dzieci nie dostrzegły.

— Żebyś ty wiedział, co tu za awantura była z naszą sąsiadką! — zaczęła Justyna nanowo.

— To zdaje się bardzo biedna kobieta, — szepnął nauczyciel głosem, pełnym prawdziwego współczucia.

— Biedna? — zapytała z niesłychanym zdziwieniem. — A żyje tak zbytkownie.

— Nieszczęśliwa ona, na nieszczęśliwą wygląda! — objaśnił mąż. — Albo mąż, czy kochanek ją porzucił, albo ona jego... w każdym razie biedna. Wiesz, jak-em chodził we Lwowie do seminarium, słyszałem nieraz o takich kobietach, a i w gazetach dużo o takich piszą,.. One nieszczęśliwe przez miłość! — wyrzucił z siebie z poczuciem mistrza, formułującego nowe odkrycie.

— Przez m i ł o ś ć?

— Ale, Chryste Panie, tom się zagadał!

Za dwie minuty znikł w uliczce, a Justyna na poprzedniem stała miejscu, ciężko pracując myślą. Poraz pierwszy mówiła i słyszała tyle o miłości... zaczęła nawet przeczuwać ją, fantazyować na ten nieznany dotąd temat.





XII

Katastrofy organiczne nie przechodzą bez śladu, a następstwa rany są boleśniesz, niż operacya. Im ciało wyższe, subtelniej rozwinięte, delikatniejsze w uczuciach, tem silniej cierpi; im lepsze — tem nieszczęśliwsze.

Cierpiącą i nieszczęśliwą była Jadwiga.

Od chwili poznania dziwnego stanu swego rzadko czuła się spokojną i bierną, jak do niedawna. Powiedziała sobie:

— Muszę się zmienić.

Nie tak łatwo jednak zmienić cały system nerwowy. Natury bogate, pełne, szybują wysoko, gorączkowo, w szerokich horyzontach, lecz czem wyższy lot, tem niebezpieczniejsze skutki spadnięcia. I Jadwiga z innej atmosfery spadła; z ży-

cia, gdzie uczucia były zawsze naprężone, myśl w bezustannem nateżeniu, a cała dusza targana, wichrzona w rozplómienu idealistycznym, lub deptana w prochu — raptownie dostała się po gwałtownej, a wstrząsającej każdym włóknem burzy, na grunt płaski, jałowy, szary... Stała więc, lecz reakcyja tak ją ubezwładniła, iż nawet nie czuła, że stoi.

Sprawy sobie z tego, mimo największych usiłowań, zdać nie mogła.

Siedziała nieraz całemi godzinami przy oknie. Widziała przez nie, jak drzewa łysieją, gną się pod wiatrem, okrywają pierwszemi kryształkami; niebawem obsiadły te kryształki i szyby, że trudno było się patrzeć, ale ona miejsca nie zmieniła. Spoglądała w ogród i dumiała.

...Co?

Nic jej stamtąd nie pociągało, nic nie odwracało. Dom cały był już, jak uregulowana maszynka. Nic do dodania, nic do odjęcia, tylko od czasu wejrzeć w mechanizm i posmarować. I to ma być owem życiem, pełnem trudów i bojów i cierpień?

Nie uważała, że wszechmoc pieniędzy odsuwa od niej wszelkie grudy, i że nie żyje wśród ludzi.

Dopóki umysł, zajęty planowaniem, a ręce i

nogi pracują w ciężkiej walce o byt, jest życie, jak rzeka, w której żywe biją źródła, silne walczą prądy, która przyjmuje i zwraca całe strumienie i sama toczy się wciąż naprzód...

Od chwili ustalenia się życia na płaskich, monotonnych nizinach — staje się ono stawem. Woda musi gęstnieć, martwieć, a powierzchnia okrywa się pleśnią... Kwiat na nim blady, cuchnący, rzadkie żyjątka grzęzną w błocie.

Jadwiga żyła w takim stawie.

Wstawiała codziennie rano i po niezbędnych konferencyach gospodarczych nie miała bardzo często nic lepszego do czynienia, jak z trzepaczką w rękę kurz ścierać. Zabawiała się również igłą i szydełkiem, lecz rzadziej. Ręce spadały jej na kolana, oczy słupem stawały. Fantazja na wpół senna zaczynała majaczeć.

...Oto uliczką, prowadzącą przez wzgórek do miasta, ciągną grupki na jarmark. Chłop rozpościera się na swoim wozie, a do koła niego tańczą trzej żydkowie. Zapewne targują kilka worków zboża. Znikli, a za nimi wlecze się kobieta w podartym kożuchu i ociera grube łyzy. Prowadzi na sprzedaż krowę, może jedyną żywicielkę całej rodziny. Muszą się rozstać, tak jak chłop z ostatnim może zapasem zboża — potem wrócą do domu. Będą przymierać głodem, lub gryźć kar-

tofle, chorować, mrzeć... po kolei... powoli i nie-
odwołałnie. Za rok to samo i za dwa, aż legną
pod krzyżem drewnianym. Oto życie.

...To zresztą tylko nędba. Chciałabym jej do-
znać. Nabrałabym może hartu i energii; chciała-
bym... Znowu rojenia! Gdyby los splatał nasze
ścieżki podług naszego chcenia, gdziebym ja była
teraz! Dziwne-to, dziwne ścieżki! U wstępu on,
pan Teofil. Jak ślicznie wygłaszał on swoje poglą-
dy na świat, tak dźwięcznym głosem, który i te-
raz w uszach dzwoni. Co to za duch dzielny był
w tym człowieku. Zapalał się, mówiąc o trze-
żwej wiedzy, o swej pogardzie dla bezowocnych
marzeń, o zdeptaniu tradycyi i ideałów przeszło-
ści, a równocześnie deklamował poetów nowych,
z pewnem zapamiętaniem się, jakby do siebie
samego, mówił rozżęsknionym głosem o ofiarach i
pracach, które użyźnią, zasieją, ozłocą przyszłość.
Jaka wówczas cisza panowała w pokoiku! Gu-
wernantka-francuska jakby spała; ja... zasłuchana,
wpatrzona weń, z uczuciem, jakby w kościele,
nie! słodsze, podnioslejsze... A jego twarz by-
ła blada, oczy stalowe, skrzące się, a dumne...
Co za ogień, co za siła, co za namiętność biła
ze słów jego! Potem odrzucał głowę, wstrząsa-
jąc bujnym włosom, jakby zażenowany składał
szybki ukłon. Jam zostawała na tem samem miej-

scu, a kiedyś całemi godzinami rozmyślałam, czy podać mu rękę przy pożegnaniu. A zdecydowawszy się, drżałam jak listek i po lekcyi nie mogłam jej wyciągnąć. Raz...

...Ha, ha, ha! Mary dzieciństwa. Staję się heroiną romansu francuskiego. Rozczulam się nad snem dziewczym, a to... tylko sen. Cóż, pierwsza miłość — to pierwsze ząbki. W swoim czasie muszą wypaść, i skąd racya żałować ich? W ich miejsce dostaje się nowe, a te już zostają na całe życie. Człowiek chyba słaby lub głupi traci je... i wówczas ha, ha!.. wprawia sobie fałszywe. Ha, ha, ha! Nawet fałszywe zęby przychodzą mi na myśl!

W tej chwili odrzucała pani Zimowiecka od siebie wszystko, co w ręku miała, a twarz jej kurczyła się wskutek gorzkiego bólu, jakiego doświadczała. Przyzywała dzieci, próbowała rozmawiać z Olesiem, zabawić Stefkę, ale z mrocznego zdętwienia wyrwać się nie mogła. Rychło zresztą myśl odpłynęła, oraz ochota do dzieci. Pozostał dawny smutek, czarny, niemy smutek, co wysusza, stępiea, ubezwładnia.

... Oh, i dla nich tracę serce! — wczynała Jadwiga. — Doprawdy, doskonała ze mnie bohaterka francuska. Ostatecznie znalazłam swój prototyp. Feuillet'y, Dumas'y! nowsza szkoła gar-

dzi wami, a wy jesteście prawdziwymi naturalistami. Toż ja pysznym jestem «dokumentem». Boże, Boże! Płakać gdybym choć umiała, płakać! Te chmury, które czuję na mózgu, te kry, które czuję na sercu — gdyby się w łyzy roztopiły!

I padała na sofę z zaciśniętymi rękoma, lub przyciskała czoło do szyby.

...Zresztą — czego wymagam ja właściwie! Nadzwyczajnych jakichś wypadków, kolei romantycznych? W życiu realnem to się nie zdarza. W gruncie rzeczy wszystko to jedno, czy się bawię z Olesiem, czy ja mu ustawiam z kamieni pałac, czy dziewczyna. Więcej treści nie mają moje obowiązki wychowawcze. Po grecku nie będę go uczyła, jak stary Mill... Cóż mi więc zostaje do czynienia?

...Ot, pani Koczkowiczowa w jubce swojej toczy się do kościoła. — «Dzień dobry pani!» — «Nie, nie wyjdę teraz z domu...» I z okna muszę odejść. Do kościoła, na ulicę... ja..? poco? Szukać Boga u księdza? O co w końcu prosić? o co? Czego ja chcę? Czy nie mam wszystkiego, czego dusza pragnęła? Wolna-m jest, samodzielna...

I nie wiedziała Jadwiga, co jej jest i czego chce. Chwilami czuła, że bardzo jej źle, chwilami gromiła się znowu biczem łajania, aż wpadała w oszołomienie zupełne. Chodziła więc znowu po

pokojach, wąta, zeszcupiała w ramionach, blada, i automatycznie spełniała wszystko, co było najbliższą koniecznością. Bywały dni, w których ust nie otwierała, chyba odpowiadając komu; bywały długie godziny, spędzone na fotelu lub na sofie, o których nie mogłaby powiedzieć, czy spała wówczas, czy rozmyślała. Wstawała z głową ociężałą, znużona, wyczerpana.

Miesiące zimowe upływały.

Nie stykała się z ludźmi — nawet w książkach. Nie mogła obejmować myślą całego łańcucha rozumowania w poważniejszym dziele, nie mogła przewyciężyć wstępu do powieści. Albo spotykała się z bajką, kłamstwem, niekzemnością, albo każdy moment powieści przypominał jej epizod z własnej przeszłości, wówczas traciła wątek i myśl jej zaczynała się błąkać. Oto pgra wieczorna, jak i teraz, a ona siada do powozu, otulona futrzanym dolmankiem lekko, by nie naruszyć kwiatka w staniku, lub kunsztownej fryzury. Przez okno karety widać takie same kłęby śniegu, białe drzew sylwety, czarny cień przechodnia, ale za chwilę jest już w jasnym salonie, dwóch, pięciu, ośmiu wyfraczonych panów przyskakuje, podaje jej ramię. Jak komicznie przewraca oczyma ten hrabia... Muzyka zagrała szalonego walca, i ją szął ogarnia.

...Brr.. Co za nędza! Teraz o tem rozmyślać. Ba, może i zazdrości tamtej Jadwidze. Mogłaby z poczwarki zmienić się również w motyla, błyszczącą, latać, ssać słodycz w cieplarniach salonów, z kwiatów dobrego towarzystwa. Ah, co mi to za słodycz! Dobrze ją pan Teofil określał..

...Znowu!

...Więc co? Więc moje życie jest dobre? Tak, jak jest, być musiało — prawda. Tylko, że teraz — zniechęć... Zresztą, co mnie to wszystko interesuje!

...Wina to zapewne miejsca. Bo też Lipniki — miasto, zapomniane przez cywilizacją. Tylko tutaj możliwy mój żywot ślimaczy. W wielkiem mieście dzień każdy przynosi wrażenia. Można widzieć — jeżeli nie blaski, to odbłyski wspaniałych zjawisk ze sztuki, literatury. Dają się słyszeć — jeżeli nie burze, to echa walk, idei, zapasów ducha. Wypełniłabym swe życie bogatą treścią, inne powietrze inaczejby mnie żywiło, mogłabym się uczyć, kółko sobie utworzyć..

Tu myśl Jadwigi stawała. Do pewnego rezultatu, do jasnej decyzji dojść nie mogła. Kręciła się jak w błędnem kole, lub zamierała jak rozstrojony mechanizm. A wstrząśnienia z zewnątrz, coby ten mechanizm w ruch wprowadziło — Lipniki nie dostarczały.

Czas mijał.

Pierwsze miesiące wiosny innym prądem zawiąły. Pierwsze kwiaty wywabiły Jadwigę do ogrodu, krew zaczęła w niej krążyć żywo. Chwile apatyi zdarzały się coraz rzadziej, a serce mocniej biło. Zaczęły objawiać się jakieś pragnienia, przeczucia, plany.

W jednej z chwil jasnych przedsięwzięła pójść na występ głośnego przejezdnego skrzypka; a co więcej — ubrała się, poszła do kasyna, kupiła bilet i zajęła miejsce w pierwszym szeregu krzeseł.

Co to ją wysiłków i walk woli kosztowało!

Znalazszy się w tłumie — po raz pierwszy pomyślała, że tutaj jest jej wszystko obcem, i że wśród dam tych wystrojonych, starszych panów, chodzących z minami senatorów, a młodszych — wyglądających jak naindyczone koguciki — zajmuje stanowisko wprost anormalne.

Jakoż niebawem dało jej się to odczuć. Po długich szeptach i wytykaniu palcami — odsunęły się od jej krzesła panie sąsiednie, t. j. komornikowa z córkami, a tak ostentacyjnie, że Jadwiga zrozumiała, iż ją tu uważają za zakałą.

Odczuła to, i, jak zawsze w podobnych chwilach, krew uderzyła jej do głowy, a równocześnie napływ dumy i energii.

Przez cały czas koncertu siedziała spokojna.

Nosiła czarną suknię, bez ozdób i klejnotów, a włosy, nieulożone w sztuczną fryzurę, spleła w grube warkocze i owinęła dokoła głowy. Pod niemi czoło białe, kanciaste, ze swemi wspaniałymi łukami brwi, i oczy spuszczone, lecz głębokie i świecące się, to rozmarzone i jakby łez pełne, twarz o pięknej, matowej bladości, a nacechowana takim spokojem i poczuciem godności, że nikt impertynencko spojrzeć na nią nie mógł — wszystko to sprawiło niezatarte wrażenie na obecnych. Nie koncertant, lecz ona zdobyła sławę, była punktem atrakcyjnym tego wieczorka.

Wyszła i skierowała się sama ku mieszkaniu. Teraz przyszło jej na myśl, że mając dość odległy kawał drogi, byłaby lepiej uczyniła, każąc przyjść służącej, lecz uwaga ta była spóźnioną. Nie miała bojaźni, ni skrupułów, a jeżeli była podnieconą, to tylko uczuciem zdumienia, a potem politowania. Zresztą byli jej ci wszyscy ludzie całkiem obojętni. Wcale nie troszczyła się o ich sądy i opinie. Przeciwnie, dziwiła się, że obскурantyzm parafiańszczyzny lipnikowskiej tak późno daje jej swoje owoce pokosztować. Przed siedmiu miesiącami była przygotowaną na boje i gromy... Śmieszni oni w gruncie ze zwyczajem odziedziczonym od dzikich, a nakazującym palić na ofiarę bogom wszystkich obcych i nie-

znanych, których burza na brzeg wyrzuciła... Afrykański to kult, a nie godzien ludzi ucwilizowanych, umięających się zastanawiać i psychologicznie poznawać drugich.

Tak rozmyślała całkiem zimno, i skonstatowała przytem, że aparat jej myślowy funkcyonuje prawidłowo. Potem zapytała się, czem mogła dać powód do tak złego wyobrażenia. Dziwaczmem swoim życiem... Mniejsza o to, do nich się nie zastosuje; gdyby chciała — nie byłaby w stanie, gdyby mogła — nie pokazałaby im przecie ani jednej kartki z przeszłości...

W zadumie szła Jadwiga, a noc rozpostarła się księżycowa, sinemi barwami oblekając sztachety i drzewa pagórka, do którego się zbliżała. Jeszcze kilkadziesiąt kroków, a jest w domu. Stefka zapewne śpi już, a może i Oleś. Trzeba będzie im sprawić ubiory letnie, a małą odłączyć. Biedactwo kochane, bardzo będzie cierpiało... Jaka to piękna noc dzisiaj! Niebo sine uwydatnia iskrzące się, płonące gwiazdy — księżyc wobec nich blady, jak tafla srebrna. A siny kolor przeważa, nawet cienie na grudkach śniegu, świecących jeszcze tu i owdzie między drzewami... Nawet błoto — oh, ten specyał małomiasteczkowy... A jak wszędzie pusto, smutno...

Nagle obróciła się. Tuż obok niej stanął czło-

wiek. Wysoki cylinder, błyszczący cwikier i wąsiki sterczące — oto, co tak blisko swego ciała dostrzegła, że cofnęła się i zadrżała.

— Pani! — szepnął mężczyzna i uchylił kapelusza. — Czy pozwoli pani się odprowadzić?

Przystanąła, mocno zdziwiona. I ona w pewnym zakresie była dzieckiem, nieznającym świata.

— Dziękuję — wyrzekła nakoniec oziębłe. — Proszę się oddalić, chcę pójść sama.

Słowa te wydały się napastnikowi zachęcającymi, bo nie ustąpił.

— Tak młoda, tak piękna, a samotna... — wyrzekł z uśmiechem, a równocześnie uczuła Jądwiga dłoń, wsuwającą się pod jej ramię.

Była już całkiem przytomną.

— Idź pan stąd zaraz... precz! — zawołała. odstąpiwszy od niego gwałtownie — bo zawołałam pomocy...

— Ależ pani... — mówił mężczyzna, zrównawszy z nią krok swój. — W nocy... może ktoś napasć... A ja znam panią... od pół roku... w dzień i w nocy...

Wpadał w patos.

Zadyszana od szybkiego chodu i wzruszenia, przystanąła raz jeszcze i mimowoli podniosła parasolkę.

— Jesteś pan nikczemnikiem! — wyrzekła

— *Prawda*, mamó — zaczął Oleś znowu — jaka moja wieża duża, a jaka ładna...

Jadwiga ucałowała złotą jego główkę.

— Prawda, aniołku, prawda — a myślą nie była przy dzieciach. Zdenerwowanie rozdrażniło jej fantazją; widziała już bandę rabusiów, napadających na bezbronne jej mieszkanie, to siebie samą, rzuconą na łożo choroby, a dzieci samotne, zaniedbane, bez duszy przyjaznej.

Ciężka troska osiadła na duszy młodej matki.

-- Mamó! mamó! — rozległ się znowu dzwięczny radością i zachwytem głosik chłopczyzny. — *Patsaj*, Stefcia chce do mnie...

W istocie, nasycone dziecię, znalazłszy się w towarzystwie, wpadło w humor doskonały. Rzucało się całym ciałkiem na kolanach matczynych, zaczęło wierzgać nóżkami, to wyciągało rączki ku braciszкови.

Jadwiga spojrzała na śmiejącą się twarz dzieciny i promień radosny własne jej oblał oblicze. A Oleś już był przy niej, już obsypywał pocałunkami tłusciuchną piąstkę siostrzyczki, ona zaś skierowała paluszki wprost ku jego oczom.

Jadwiga uśmiechnęła się tym uśmiechem rozrzewnienia, jaki zawsze ogarnia na widok rozkosznych, rozbawionych milusińskich.

— Ah, ty złośnico mała — zawołała. — Braciszкови oczy chcesz wydrapać ?

Ale Oleś klaskał w rączki i wspinając się na palcach, podsuwał główkę.

— A niech *dlapie*, mamus, niech *dlapie*. To tak *dobrze*...

Wtem rozległ się za za jego plecyma trzask i łoskot słaby.

— Masz! — wyrzekła matka. -- Biedna twoja wieża się zwała.

Usadowiła Stefkę na stole i zaczęła zbierać rozrzucone domino.

— Biedna wieża... — szepnął Oleś żałośnie.

— I pałacu już niema...

W tej samej chwili wybuchnął niepowstrzymanym perlistym chichotem.

— Mamus! mamus!

Co się stało? Zosia zdobyła kilka kamieni i wprost je do ust niesie.

— A ty psotnica jedna! — zabrzmiał swobodny już głos Jadwigi, na której twarzy dawno niewidziany, wesoły, szczery uśmiech błysnął.

— Ty głupiotka! nie *wies*, że domino tylko do pałacu! — dodał Oleś z miną erudyty i wskoczył na sofę, stąd na kolana matki i drobną, okrągłą, rumianą buzię przycisnął do twarzyczki siostry.

Jadwiga przytuliła je oboje z gorącem, które ją nawskroś przejęło — i na chwilę zapomniała o całym świecie, oswobodziła się ze wszystkich trosk, i było jej błogo i miło. Ani uważała, jak czas przebiega i co będzie później — porwana prądem uczucia, spędziła wieczór szczęśliwy.

Gorąco i uczucie, nie trawiące ogniem, lecz utrzymujące nastrój serdeczny i oświecające swe mi promieniami wszystkie myśli, nie opuściło jej i później.

Jak chory, powracający do zdrowia, zaczęła zdawać sobie powoli sprawę z zaszłych faktów, z doznanych wrażeń, przywodzić na pamięć dni ubiegłe, porównywać, rozważać.

Przez dni kilka myśl jej bardzo pracowała. To, co dawniej drzemało martwo lub związało się w nierozzerwalne sploty chaotycznych uczuć — rozplątywało się obecnie i rozjaśniało.

Z tępego smutku i głuchej apaty przeszła w stan niezwykłego podniecenia.





XIII



kilkanaście dni potem miała niespodzianą wizytę. Przyszedł miejscowy proboszcz.

Zmieszała się na jego widok, lecz przyjęła bardzo grzecznie. Słyszała bowiem dużo i myślała nieraz o nim. Mleczarka np. mówiła, że gdy krowa jej padła przed rokiem i całej familii głód zagrażał — zjawił się dobrodziej, rozpytał, przyniósł sześćdziesiąt papierków, co wystarczyło na uszczęśliwienie całej rodziny. Służąca Kaśka, zapytana, gdzie się nauczyła czytać i pisać, odpowiedziała, że w niedziele po południu brała lekcye u księdza.

Dzielnym i sympatycznym wydał się ten kapłan Jadwidze, ale osobiście nie zetknęła się z nim. Nie potrzebowała jego usług duchownych, wzdragała się przed towarzystwem człowieka.

Postać jego silne zrobiła na niej wrażenie. Był wzrostu wysokiego, trzymał się prosto i ostro, a głowę jego długie, białe jak śnieg okalały włosy, spadające na czarną sutannę. Siwy włos wywoływał zawsze z jej strony szacunek, a wysoko sklepione czoło, oko bystre i wielką dobrocią świecące — jak i twarz cała o czystych, szlache-tnych rysach — wskazywały, że człowiek ten umie czuć i dużo myśli.

Wszedł, prowadzony przez służącą — krokiem elastycznym, prawie młodzieńczym.

— Pani daruje — zaczął — że się ośmielam przerywać jej spokój. Oh, niech się pani mnie nie pozbywa uprzejmymi frazesami — i ja tylko spokój i ciszę przynoszę...

Jadwiga była bardzo bladą.

— Przychodzę niewołany — ciągnął ksiądz, skinieniem gospodyni zaproszony do siedzenia — bo jestem przeświadczony, że uczciwe słowo i towarzystwo przeszło siedmdziesięcioletniego starca, pani, stojącej tu samotnie, zbytecznem być nie może...

Przeszło siedmdziesięcioletniego starca! Pogo-dna, zdrowa twarz, i głos pełny, równy nie wskazywały wyżej nad sześćdziesiątkę!

— Ale pani widocznie w swojej mizantropii i o słudze bżym nie myślała — dodał z uśmie-

chem. — Co robić. Nie chciała góra przyjść do Mahometa... a niech się pani nie obraża przyrównaniem do góry, jeżeli ja się decyduję przyjąć miano bisurmanina... więc przyszedł Mahomet do góry...

— Istotnie, masz ksiądz dobrodziej słuszość. To ja powinnam była złożyć swoje uszanowanie... ale... niestety, znajduję się w takim usposobieniu, że to dla mnie niemożliwe...

— Wiem, łaskawa pani, rozumiem mniej więcej, w jakim usposobieniu pani się znajduje...

Mówił to ze smutną powagą w głosie, która Jadwigę powinna była ująć, lecz ona podniosła wzrok pytający, nieprzyjemnie dotknięta. Ksiądz oczu z jej twarzy nie odwrócił.

— Już widzę, że się pani zaczyna oburzać... obawiać, że ciągnę do spowiedzi... Nie, pani, spowiedzi i religii nie można nakazać nikomu, jeżeli to nie jest potrzebą serca.

Te proste słowa sprawiły jej znaczną ulgę.

— Ksiądz proboszcz sam mnie wytlómaczyłeś — odrzekła, aby odrazu przeciąć niemłą dyskusją — czemu się dotąd nie zjawiłam...

— Ani na nabożeństwie w Boże Narodzenie, ani na Wielkanoc... — dodał łagodnie, z niemym wyrzutem w oczach.

— Ani wówczas — odpowiedziała — bo nie

jestem przyzwyczajona szukać Boga tylko w pewnych dniach lub w kościołach...

— A rodzice, pani, jeżeli wolno pytać, są, czy byli katolikami?

— Tak, jeżeli mowa o oficjalnem ich wyznaniu. Ojciec mój jednak był człowiekiem bardzo racjonalnym, a matka... — tu głos jej zadrżał — przechorowała ostatnie ośm lat życia, t. j. wówczas, kiedym ja dorastała. W pierwszych pięciu latach modliła się żarliwie do Boga, a potem... tylko do lekarzy...

— Biedna. Podwójnie była chorą... — zauważył ksiądz cicho.

— Ja... — dodała Jadwiga prędko, by przewyciężyć wzruszenie, jakie ją ogarniało — ja więc nie odebrałam wychowania religijnego. Mówię z całą szczerością, bo ją cenię więcej niż grzeczność. Potem życie... zaczęłam myśleć samodzielnie... doświadczyłam dużo... i to wszystko oddalało mnie od kościoła...

Wzrok jej jasny i spokojny spotkał się ze wzrokiem księdza, wyrażającym żal i współczucie.

— Pani — zaczął i ujął jej rękę, patrząc jej poważnie i dobrotliwie w oczy. — Ale pani cierpisz... pani nie jesteś szczęśliwą... czy i to nie zbliżyło cię do Chrystusa?

Dreszcz przebiegł po jej ciele. Znajdowała się

wobec człowieka, który bardzo głęboko zajrzał w jej duszę, a obecnie trzymał oburącz dłoń jej, a na twarzy jego wielka szlachetność i dobroć się malowała.

— Bądź pani spokojna — dodał — gdyż powtarzam raz jeszcze, że nie ranić, nie, by natrętnie wyznania wywołać, przyszedłem. Patrzę na panią od pół roku i coraz to lepiej poznaję, że palec boży, który spoczął na tobie, może cię całkiem złamać... tak na duszy, jak i na ciele...

— Oh, mylisz się pan...

— Ja się nie myślę, pani; przyznasz mi później, gdy się lepiej poznamy, bo to przecie być nie może, żeby szatan tak dalece zatrzał panią, byś nie mogła odróżnić złego od dobrego... To być nie może...

— Pozwól pani — ciągnął dalej ładodnie, ze wzrastającym zapałem, który z oczu jego promienie wywoływał. — Nie chcę być dla pani kaznodzieją z ambony... Jestem człowiekiem, który dużo przeszedł, dużo przebolewał i rozmyślał... Przed pięćdziesięciu laty — gdy cały kraj był w ogniu — byłem też uczestnikiem ruchu i w jednym roku straciłem ojca, o którym nawet nie wiem, gdzie spoczywa, matkę i siostrę... Straciłem też kawał ziemi i dworek, gdzie rodzina od setek lat pracowała i żyła... Potem poszedłem do Francji,

odgrywałem rolę wśród emigracyi w kilku klubach. Następnie przykładałem rękę do wielu prac literackich, obok naszego wielkiego Adama... Bardzo, bardzo wiele wówczas przeżyłem, i co pani sądzi? czego mnie to życie nauczyło? Wyraźnie poznałem, że świat i jego wyobrażenia to dym znikomy, złudy, mary. Widziałem, że do celu, jakimi my sobie wszyscy postawili, nie prowadzi walka orężna, nie prowadzi politykowanie, ani nawet poezya, choćby piękna i wzniosła, tylko jedno: wiara chrystusowa, duch boży... Tak pani, tylko duch boży.

Mówił z wielkiem wzruszeniem, a Jadwiga, wśród opowiadania, kilkakrotnie łzy ocierała. Usłyszawszy ostatnie zdania, podniosła głowę i znowu wyraz spokojnej refleksyi zabłysł w jej oczach.

— Czyś ksiądz dobrodziej znał Towiańskiego? Proboszcz poczerwieniał.

— Znałem, znałem! — zawołał. — To był obłąkaniec, to był apostata... Cóż to ma do mnie?

— To, panie, że tylko forma waszych przekonań jest różna, ale treść... bardzo, bardzo zbliżona.

Ksiądz zerwał się, wyprostował potężną swą postać, pod białymi włosami oczy jego na chwilę, jak błyskawice zagorzały.

— Pani! — zawołał tonem, jakby stał przed szwadronem.

Lecz zaraz padł na fotel i pochylił głowę.

— Ułomna, grzeszna natura we mnie... — szepnął. — Wybacz pani moje uniesienie, zbyt głęboko żołnierz i szlachcic we mnie zaklęty...

Jadwiga przechadzała się po pokoju. Uniesienie księdza jej się udzieliło, ogień i żal w niej wybuchł.

— Ah, księżo! — wyrzekła, załamawszy ręce i drżącym głosem. — Daj mi tę wiarę, wskaż mi tego ducha bożego!. Gdybym mogła wrócić w stan dzieciństwa, odzyskać dawną prostotę, dawną ufność, gdybym mogła... Wierzyłabym, że wszystko, co się dzieje, dzieje się dobrze, że nasz słaby rozum nie może pojąć planów Boga, i że nas czeka nagroda za cierpienia... Lecz skąd wezmę tę wiarę? Jak wypędzę ze siebie rozum, jak się pozbędę uczuć, które wciąż się buntują, wciąż szaleją, i nigdy nie będą zdolne do poddania się jakimś nakazom... Na to, na to znajdź mi pan lekarstwo!

— Jesteś pani niebezpieczniej chora, aniżeli myślałem... — szepnął proboszcz. — Ale mimo to... pani zamało cierpiałaś... tak jest! Prawdziwe cierpienia prowadzą nas dopiero do Boga...

— Do grobu, panie, do grobu!

— Nie, pani, człowiek nie umiera, kiedy sam chce, lecz kiedy Pan chce. Wiele razy szukałem ja śmierci w walce... i zostałem, i musiałem cierpieć, jak mi Bóg przeznaczył..

— Musiałem cierpieć? Muszę cierpieć? — zawołała Jadwiga z gorzką ironią, niezmiernie wzburzona. — Gdybym tego nie słyszała z ust pańskich — tobym musiała wzruszyć ramionami... Muszę cierpieć — ja! za co? Za to, że los przykuł mnie do człowieka, który jest niegodziwym? Ja muszę cierpieć — za nieswoje winy? I życie całe sobie opiekielnąć i dzieci swoje czyste do tego piekła wprowadzić, i w ten sposób służyć jego niegodziwości, rozszerzać ją po świecie — i to ma być obowiązkiem, nakazanym przez Chrystusa? Nie, księżu...

— Nie, pani. Gdybyś pani posiadała serce prawdziwie chrześcijańskie, nie patrzyłabyś tak na świat. Nie znam niegodziwości, o jakich mówisz, ale może to tylko próba Opatrzności? Gdyby nie próba — nie byłoby też zasługi! Nie, pani, na zły jesteś drodze. Są ludzie słabi, są ludzie źli, ale nie jesteśmy poganami, i wobec nich mamy obowiązki chrześcijańskie.. Nie złorzeczyć im, nie odtrącać ich — Chrystus Pan umarł za świat grzeszników i nam wskazał drogę... A miłość, a modlitwa, a rezygnacya...

Jadwiga stanęła, z rozdętymi nozdrzami, z wypiekami na twarzy, cała drżąca, zdenerwowana.

— A żonie, której mąż jest ostatnim niegodziwcem, pan też nakazujesz miłość, modlitwę, rezygnacją...

— Pani, zostawmy sąd o nim Panu Bogu, kobieta związana przysięgą sakramentalną zerwać jej nie powinna.

Oburzenie Jadwigi przeszło wszelkie granice.

— I to ksiądz propagujesz? Toż to prostytutuya, prawdziwa prostytutuya... legalna i uświęcona...

Wyrzekła te słowa, a proboszcz zerwał się, pod białym włosem twarz jego stała się aż sinawą, i nie mogąc widocznie nad sobą zapanować, sięgnął po kapelusz, leżący na stole.

Jadwiga dostrzegła to, silnie ujęła go za rękę i usadowiła.

— Nie, księżo, nie odejdiesz tak odemnie... Uniosłam się, bo... bo...

Tu słowa jej ugrzęzły, wyczerpana, padła na fotel, a z oczu łzy jej trysnęły.

— ...bom bardzo nieszczęśliwa! — dokończyła z głośnem łkaniem, i zakryła oczy dłońmi.

Trwało to chwil kilka.

— Płacz, wypłacz się dowoli — szepnął ksiądz, któremu oczy zwilgotniały. — Dużo jeszcze w tobie młodości, dużo namiętności i miłości wła-

snej... płacz, lżej ci się zrobi — i spokojnie zacznieś rozważać.

Jadwiga odjęła ręce, miała oczy we łzach płynące, i uśmiech na białem obliczu.

— Jestem już spokojna — rzecze, wyciągając obie ręce do proboszcza. — Wybacz pan... daleką odemnie była myśl dotknięcia pana czemśkolwiek... obcą mi całkiem... Wzruszyłam się nadmiernie... pan jesteś pierwszym, literalnie pierwszym człowiekiem, z którym mówię od trzech kwartałów, a serce mi się otworzyło... do mimowolnej spowiedzi...

Ksiądz wyrzekł serdecznych słów kilka.

— Pani! — dodał — zabolalo mnie, coś pierwej wyrzekła. Kościół święty jest matką dla wszystkich, myśli i o nieszczęśliwych dzieciach, i o stadłach niedobrych... Istnieje możność unieważnienia małżeństwa...

-- Tak, ale, jeśli nie ma t. z. przyczyn kanonicznych? Rozmyślałam już nad tem, pytałam, i nie znalazłam rady. Nie mówmy lepiej o tem. Nie chcę obrażać religijnych przekonań pana, ale na punkcie stosunków małżeńskich nie mogę ich podzielać... Czuję ich okowy, ah, czuję! I nietylko ich! Państwowe nasze prawo, ułożone przecie niedawno przez ludzi, co powinni byli znać życie, a szczególnie nas, kobiety nieszczęśliwe,

jest także tak bezwzględne, tak niemilosierne...

Opowiedziała, jak kodeks*) określa stosunek rozłączonych rodziców do dzieci.

Ksiądz zamyslił się smutnie.

— Widzi pani — wyrzekł po chwili, wracając do pierwotnej swej myśli — i tak jesteś rzeczywiście w okowach, ale czy istotnie z cudzej winy, i bez wyjścia? Wybacz pani, już nie jako ksiądz, ale jako przeszło siedmdziesięcioletni człowiek mam prawo to mówić. Oh, nie jestem natarczym, nie pytam o przeszłość... lecz czyś pani nie postąpiła zbyt radykalnie? Mogłaś pani i jego na złą drogę popchnąć... Czyż nie piękniej przebaczyć po chrześcijańsku...?

— Przebaczyć osobiste urazy — tak; ale unieszczęśliwić siebie, pomagać niegodziwemu i dzieci mu powierzyć — to już nie... Zresztą, jak powiedziałam... uczuciom swoim rozkazać nie potrafię, chyba, gdyby je ze mnie wraz z krwią wysączono...

— No, ja tak czarno nie patrzę — rzecze proboszcz, zabierając się do odejścia. — Mam nadzieję, że się pani uspokoisz, że dojrzejesz rychło — choćby pod wpływem cierpienia, i nawrócisz się na prawdziwy chrystyanizm... Wówczas przyjdiesz pani do mnie...

*) Austryacki.

— Może przyjdę bardzo szybko... Jestem słabą kobietą, do nikogo tu nie mam zaufania i szacunku...

— Nie, pani! — odrzekł ksiądz z surowością w głosie. — Zobaczymy się, jak zechcesz się wypowiadać. Inaczej — nie mógłbym słuchać słów pani...

Nie uważał zacny eks-oficer, ile porywczosci szlacheckiej, jak mało pokory i wytrwałości apostołskiej leżało w tych jego słowach.

Skierował się ku wyjściu, lecz wrócił raz jeszcze od proga.

— Pani! — powiada — masz dzieci. Chłopczyk musi mieć już przeszło trzy lata. Jak je pani będziesz wychowywała... to znaczy — w jakim duchu?

— Odmawiamy codziennie świętą modlitwę: Ojciec-nasz... — odrzekła, przejęta czią dla tego starca wzniosłego.

Wizyta jego była epoką w jej życiu. Po raz pierwszy sięgnęła w głąb własnej istoty i dostrzegła korzenie trawiącego ją bólu. Ale dzierżyła już te korzenie w dłoni — i to samo wielką sprawiło jej ulgę.

Korzenie te poznała. To owe kwiaty, które

zawsze i wszędzie rosną; na szczytach śnieżnych i w rozpadlinach, na glebie biednej i na grzędach wypieszczonych, i stamtąd wyciągają korony ku słońcu, ku ciepłu, ku miłości. Więc i w jej sercu te kwiaty tkwią...





XIV

Dwa lata upłynęły.

«Czas — najmędrszy, bo ma czas» — zrobił swoje. Smutek, który pierwiej ciążył, jak ołowiana, gęsta chmura, nie znikł, lecz rozproszył się w przestrzeni, otoczył Jadwigę mgłą cichej, łagodnej melancholii. Nie był już grubą, żrącą rdzą, tylko lekką warstwą pyłku, która okrywała wszystkie tkanki jej duszy i przez którą na świat patrzała.

Jasnym nie wydawał się też świat ten, ale i czarnym nie był. Przybrał kolor daleki od jaskrawości romantycznych, od gry światła i cieni, jaka się odbywa w wirze wielkomiejskim: pospolity, szary kolor zapełnił tło jej życia.

Na tem tle jaśniały coraz piękniej dzieci.

Przedtem nie kochała ich Jadwiga ślepem,

zwierzęcem uczuciem. Zazwyczaj szkodzą matki niemowlęciu. Przy dziecięciu stają się także dziecinnymi. Znajdują uciechę w świegocie zdrobniałym, w tarzaniu się po dywanach, w gałgankach, świecidelkach i wzajemnych pieszczotach. Mają dzieci chyba do zabawy.

Jadwiga bawić się nie mogła. Była chorą. Równocześnie z jej powolnem przyjściem do pewnej zdrowej równowagi, wzbogacały się dzieci w coraz nowsze siły. Oleś uważał się już za dorosłego męża i był przekonania, że mundur oficerski przyozdabiałby doskonale jego bohaterską postać metrową, a Stefka królowała już między lalkami. Sama zresztą przepiękna laleczka: mała, bielutka i różowa, szczebioce i szepce przez dzień cały, każdą usłyszaną melodią powtarza cienkim dyszkantem, a najmilej przebywa na kolanach matczynych.

Teraz zmieniło się zadanie Jadwigi. Nie potrzebowała zajmować się li tylko dyetetyką, i nie mogła wyręczać się niańką. Cudowny instynkt macierzyński, pierwiastkowo zwierzęcy, lecz uszlachetniony w szeregach pokoleń, uszlachetniony ideami i celami wychowawczemi, tryskał z niej promiennemi strugami, łączył się z potokami bezgranicznego przywiązania, jakie biły z usteczek

małych i razem, jednym kręgiem gorącej miłości, obejmowały całą tę gromadkę.

Miłość, jakkolwiek gorąca, szła w parze z refleksją. Owoc ten, wyrastający z ziemi, oranej nieszczęściem, podlewanej łzami, a zbierany przez doświadczenie życiowe — był teraz prawie wyłączną karmią Jadwigi. Nie wicherzyły jej serca burze uczuciowe, nie wznosiły ponad ziemię; rozwaga i powaga, spokojna a głęboka, trzymały ją na nizinach, płaskich wprawdzie i monottonnych, na których atoli wzrastały dzieci.

...Jak je wychowywać? Jak niemi kierować? — rozmyślała całemi dniami, obserwując je nieodróżnienie na każdym kroku, dumiała nocami, rozpamiętywując wypadkiienne.

Wypadki, doświadczenia uczyły ją. Od chwili, kiedy Oleś zaczął sam kojarzyć pojęcia, interesować się wszystkimi wokoło zjawiskami, zawierać stosunki z innymi malcami, a Stefka mu sekundowała — padł na umysł matki cały chaos przeróżnych zagadnień. Chodziła z dziećmi na spacer, a w nich odzywała się ciekawość, ta matka wszelkiego postępu. Ciekawości tej Jadwiga nie umiała zaspakajać. Nie umiała im wyjaśniać znaczenia i składu narzędzi, które stały przy kuźni pobliskiej, nie umiała nazywać po imieniu motyli i kwiatów.

Nie umiała im tłómaczyć cudów nieba, ani napotykaných dziwów ziemi.

Sama — wychowanka wielkiego miasta, córka pieaszczot i salonu, nie znała natury, ni świata. Gdy które dziecko skarżyło się na ból lekki, wpadała w rozpacz i załamywała ręce: czemu nie zna organizacyi ciała ludzkiego, ni racjonalnego trybu jego pielęgnowania i życia. A gdy uprzytomniła sobie skomplikowany mechanizm natury człowieczej, pytała się:

— Co poczniesz z wykwitającymi kielkami duszyczek dziecięcych? Jak masz czuwać, jak współdziałać przy ich rozwoju? Jak ująć w swoje ręce te wątłe kwiaty, by wystrzeliły krzepko i pięknie pod niebo, pod słońce, i z czasem stały się ozdobą i pożytkiem? Umiesz ty wypełniać obowiązki dobrej matki?

Uogólnwszy te myśli, dostrzegła smutny obraz przeszłości nietylko swojej. Oto trzymano ją za młodu w zamknięciu, w atmosferze sztucznej, dokąd odgłosy prawdziwego życia nie dochodziły, gdzie zamiast roślin istniały tylko sztuczne kwiaty, zamiast słońca — światła gazowe, zamiast natury — wymuszone konwenanse, zamiast wiedzy — błyskotliwy, bezduszny *esprit*. Dlatego cały żywot kobiet wyższych sfer jest jednym pasmem kłamstwa. Dlatego są one, jako złe matki, jedyną

przyczyną przewrotnego zepsucia lub nieszczęść swoich córek, i główną przyczyną zdegenerowania albo podłości pokoleń męskich.

Wówczas wyrwał się z piersi Jadwigi wielki okrzyk: nauki!

Zapał ogarnął ją silny.

Z pojęciem nauki połączyła się zaraz myśl o Teofilu. On przecież mawiał: nauka to potęga, on przecie zapalił przed nią ideały życia prawdziwie etycznego, budowanego na wiedzy.

— Coto za dzielny był umysł... — podziwiała teraz. — W jaką śliczną harmonią zlewała się w nim poezya z trzeźwą krytyką. On... ale ja... ja muszę jeszcze «rzucić granit pod tęczę» marzeń moich. Ah, tęcza jest niestety złudzeniem tylko, granitem atoli będzie dla mnie wiedza. Ona — i dzieci! czyż innych trzeba szukać celów życiowych? Dla nich i przez nie istnieć będę!

Wytworzyła więc sobie Jadwiga taki program, opracowany w poszczególnych punktach. Posiadła rodzaj przykazań, wzorów etycznych i podług nich uregulowała czynny żywot. Spokój z zewnątrz i siła refleksyi sprzyjały jej znakomicie.

Między papierami swemi znalazła «katalog wyrozumowany» najważniejszych dzieł z obszernym wstępem pióra Teofila.

«Každy więc — tak kończyła się ta przed-

mowa — pominąwszy bezmyślnych wyrobników wiedzy, powinien bardzo dużo wiedzieć, dużo faktów, dużo uogólnień posiadać, aby wytworzyć sobie pogląd na świat i racjonalny cel w życiu wewnętrznem-etycznem i społecznem. Bez tego niepodobna być całym, skończonym człowiekiem. Wszystkie gałęzie nauki łączą się i kombinują tak ze sobą, iż każda z osobna nie potrafi nawet być rzemiosłem, tem mniej filozofią. Tylko wszystkie w łącznej komplikacyi zdołają wytlómaczyć nam wszechświat i człowieka, powstanie jego, stanowisko w naturze i wobec społeczeństwa. Zostawmy oryginalne badania specjalistom, my, jako przeciętnie wykształceni i uczciwi ludzie, pracujmy w powyższym zakresie.“

Program powyższy przyjęła Jadwiga za swój. Stały jej przed oczyma zarzuty, iż przecenia swoje siły, iż w najlepszym razie będzie tylko dyletantką, zdobędzie tylko powierzchowne wiadomości z różnych działów, a nic istotnie naukowego. Ale co począć? Jako matka umie najlepiej oceniać trafność powyższego zadania. Aby należycie wychować dzieci, musi poznać budowę i funkcyę ich ciała, oraz procesy duchowe, musi wiedzieć coś o systemie planetarnym i o każdym kwiatku, posiadać odpowiedzi na wszelkie ich pytania, i kierować niemi ku jednemu centralnemu

poglądowi na świat. W danej kwestyi jest uczucie macierzyńskie ślepem, szkodliwem; wiedzy, wiedzy potrzeba!

Rzuciła się więc Jadwiga do pracy.

Chęć gorąca datowała się w niej oddawna jeszcze, od tych lekcyj pamiętnych... we Lwowie. Teraz rozwinęła się, potężniała z dniem każdym, w miarę poznawania nauki, która jest jak ocean. Zdaleka wygląda on, jak majestatyczny wprawdzie, lecz jednostajny ogrom wód, ciemny, nieruchomy, szumiący głucho — ale bliżej zbadany jest całym światem. Na powierzchni jego tysiąc fal, łączy on się z tysiącem dopływów, a pod powierzchnią kryje góry i przepaście, — niezbadane jeszcze, lecz mające napewno dno swoje; i niezliczone klejnoty i tysiące organizmów, kwiaty cudne i potwory... odbija w sobie słońce i gwiazdy, a szumi... mówi setkami głosów, to huczy spieniony w burzy, to śpiewa.

Przed tym oceanem stanęła.

Dawno już, dawno... «On» był z nią na brzegu, wskazywał prądy, okręty z bogatymi ładunkami, żeglarzy, sterowników i nurków śmiałych; potem przenikał tafle jasne i dna śledził... opowiadał, jak chmury piją z tego oceanu, rozplywają się po świecie, roznoszą deszcze dobroczynne

lub gromy... Opowiadał — ah, jak dawno już temu!...

Czasy te minęły bezpowrotnie! trzeba sobie powiedzieć. Na razie snuć przędzę terażniejszości...

Tak rozumowała i zaczęła sprowadzać książki, pisma, przyrządy. Prąd oceanu porwał ją, pamięć Teofila unosiła. Umysł świeży, niezepsuty jął dużo pracować, katalog prowadził ją, jakby za rękę. Czasem prowadził i wstecz... do Lwowa... do małego dziewiczego pokoju, do stolika, przy którym «on» wygłaszał swoje teorye, na łożu, gdzie nocami tak cudnie roił. Teraz — co mówi zwierciadło! wskazuje na kobietę o czole białem, kanciastem, nad którym włosy gładko po obu stronach zaczesane; o oczach nie gorączkowych, nie przepaścistych, lecz spokojnych i trochę posępnych; o postawie zawsze smukłej, lecz jako giętka, młoda łania, lecz jak bujna i silna topola. A w jej umyśle ta sama powaga, ustępująca bardzo rzadko zamętowi wspomnień lub różnym mgłom marzeń.

Czasem wracały...

Widywała Kazimierza... słyszała ostatnie jego słowa, słyszała frazes «harem»... Wstrząsała się wszystkimi nerwami, uciekała od niego — zatrzymywała się przy Teofilu. On... gdzie — jak

sobie poczyna? Poszedł wówczas w świat — zapomniał zapewne swoją uczennicę — miał ich wszak więcej; zapomniał — poszedł — bez żalu — bez gniewu nawet za wyrządzoną mu krzywdę. Był całkiem obojętny — chociaż niejednokrotnie .. ale poszedł — i przy swoich zdolnościach, przy wielkim zasobie sił żywotnych — wywalczył sobie zapewne miejsce w świecie...

Czy wywalczył?

Tak — jest mężczyzną! Nie ma więc dla niego tych oków ciężkich, co tylko nas, kobiety gniotą. Dalej — jest zbyt rozumny i szlachetny, by nie umieć szukać drogi życia, lub wybrać fałszywą. To ona tylko... ona... tak straszliwy błąd popełniła...

Precz z temi myślami — trzeba być racjonalną!

Więc podług j e g o katalogu i jego metody pracować. Wobec tej nieskończoności wiedzy — jak maluczka i ograniczona ona się czuje. No, należy tyle poczerpnąć, ile w mózgu się zmieści; a nasamprzód to, co dla dzieci najważniejsze...

Jadwiga prowadzi żywot nadzwyczaj prosty i regularny. Załatwia sprawy gospodarcze, bawi się, spaceruje z dziećmi, i uczy się. Znajduje w nauce tyle rozkoszy, mimo że nie przypuszczała, aby

była zdolną do tak silnego odczuwania. A na zewnątrz niczem się to nie objawia. Jest spokojna i poważna, obca całemu miastu, obca wielkim wzruszeniom i planom. Nie myśli o sobie, o przyszłości; z braku egoizmu i interesowania się swoją osobą. Dla siebie nic przecie nie pragnie — nie zasługuje. Jeżeli czasem cierpi — to tylko pokuta. Jest logika w życiu, są konsekwencye lekkomyślnego oddania się mężczyźnie... Dostyc, że jego nie ma. Żyje gdzieś podług swojej woli, tak jak ona podług swojej — to zupełnie w porządku. Podłością byłoby tylko wspólne życie...

I o tem niewiele myśli — wśród jednostajnych, mieszczańskich swoich zajęć. Szczęśliwa rentierka — pobiera co kwartał procent z kapitału, włożonego do miejscowej kasy oszczędności; szczęśliwa matka... Oh, prawdziwie szczęśliwa! Dzieci bardzo pięknie się rozwijają, a ich postępy, ich uśmiechy, każde słowo przez nich świeżo nabyte — więcej ją przejmują do głębi, silniej tkwią w duszy — niż nawet fakta i teorye naukowe...

Drogie, kochane, jedyne! Ile balsamu w ich niewinnych oczach ona czerpie, jak jasno ściele się przyszłość, torująca dla nich ścieżki...

Czas szybko ubiegał.

Oleś miał już półpięta roku i był ślicznym chłopczykiem. Maleńki, krągły, o buzi pełnej, ru-

mianej i gęstych blond lokach, spadających w długich kędziorach na niebieską bluzę marynarską, był roztrzepany trochę i burzliwego temperamentu. Oczy miał duże, niespokojne, nieoznaczonego koloru, najczęściej świecące jak stal. Te oczy — te oczy — przejmowały Jadwigę trwogą. Były to oczy jego... Teofila... tak samo mieniające się, tak samo zamysłone w smutku, taksamo błyskały w ożywieniu. Te oczy... albo może przywidzenie... Nie, j e g o wzroku, co tyle mówił i tak głęboko przenikał — zapomnieć ona nie zdoła...

Stefka była nieco chorowita. Szczuplutka, a umysłowo wczesnie rozwinięta, miała cerę bladą, lecz bardzo czystą i delikatną, a oczy czarniutkie. Była dzieckiem cichem i łagodnem.

Inaczej brat. W nim kipiała krew żołnierska, i to żołnierza-szlachcica, który musiał być pierwszym wszędzie, i za lada sprzeciwieniem się podnosił kord. Na podwórzu, w sadzie przychodziło z tego powodu do walnych nieraz rokoszów. Pospolite ruszenie młodzieży z przedmieścia lipnickowskiego, składające się z trojga aniołków profesorstwa, i innych obywateli z sąsiedztwa, wahających się między trzecim a ósmym rokiem życia — wybierało z pomiędzy siebie dowódcę siłacza najdzielniejszego. Przeciw temu protestował młodziutki pan Zimowiecki, który górował

nad wszystkimi rozkazującym głosem i energicznymi ruchami, a posiadał wyższość cywilizacyjną, objawiającą się w tem, że za pomocą różnych forteli i sztuczek zwyciężał nieraz w pojedynku przeciwnika, znacznie od siebie silniejszego. Prawda jednak i to, że do zwycięstwa pomagała mu niejednokrotnie Stefka, w sposób isticie kobiecy! Widząc orężne zapasy brata — wpadała w płacz; to rozbrajało strony wojujące, wywoływało interwencyą sług, poddanie się woli tego, który prócz osobistych zalet posiadał najładniejsze ubranie, a bardzo często — doskonałe cukierki.

Do Olesia przyległo imię «jenerała» — a on wzrastał w dumę.

W ostatnich kilku tygodniach zaniedbał jenerał swą armią, choć to była pora wiosenna, pora, kiedy wszędzie akcyje wojenne się rozwijają. W danym wypadku przeszkoda wynikła ze strony matki jenerała.

Oto, co zaszło.

Dzieci już spały, nawet w kuchni światło zgasło, bo w małym miasteczku dzień wczesnie się kończy, jak na wsi; Jadwiga siedziała przy swym stoliku. Cały wieczór upłynął jej szybko i mile wśród różnorodnych zajęć. Skończyła czytać studyum o metodzie wychowawczej Froebła, i zrobiła bilans miesięczny; potem pocerowała pończo-

szki Olesia i pogrążyła się w czytaniu ostatniego numeru Przeglądu warszawskiego. Cisza, panująca wokoło, ukołysała ją łagodnie, przez otwarte okno wiały silne wonie z ogródka i ptaszę czasami dawało się słyszeć. Ona czytała, a odrywając często oczy od pisma, przechylała się w tył i wpadała w zadumę. Nic atoli smutnego w tem nie było, przeciwnie, z zadowoleniem wciągała w piersi strumienie świeżego powietrza, czuła, że rzeźwość jakaś i młodzieńczość przechodzi w szpik jej kości, w ciało całe. Uśmiechała się do siebie, uśmiechała do sylwetek dzieci, słabo rysujących się na łóžeczkach w drugim pokoju i znowu zagłębiała do numeru.

Wtem szmer dał się słyszeć. To gałąź, potrącona skrzydłem śpiewaka nocnego; nie! szmer głośniejszy, bliższy — wyraźnie kroki słychać ludzkie, tuż od strony okna. Kto to może być? Z rodziny gospodyni zapewne nikt. Stara chrapie tak, że przeszedłszy pod oknem, można jej koncert słyszeć; córka zajęta tak późno w kuchni lub nad bielizną, profesor tak długo ślęczy nad zeszytami — iż nigdy prawie nie używają przechadzki wieczornej.

Szmer wzmaga się, można nawet rozróżnić głosy ludzkie. Niepokój ogarnia Jadwigę, na chwilę zapiera oddech w piersi. Wychyla się przez okno,

księżyc oświecił błyskiem swego sierpa dwoje ludzi. Tak — dwoje. Ona... ją zaraz można poznać... perkalikowa suknia, płowe warkocze, kibić niezgrabna, zdeformowana, wiecznie bez sznurówki. To profesorowa. Ale ten obok niej? Wyższego wzrostu — czarną masę swego tużurka przyciska do jej piersi, rękoma ją nawpół otacza, i tak kilka chwil... Ten człowiek — ten człowiek...

Uwolnił ją z objęć, odjął twarz od jej ust... nieba! Wysoki cylinder, błyszczący cwikier i wąsiki sterczące... a profesorowa, jak psina węsząca, wysunęła nos i pyszczek i drży cała.

Jadwiga odskoczyła. Doznała teraz tak silnego uczucia obmierzłości, że kurecz przeszedł po jej twarzy i w gardle ją dławi. Wzdrygnęła się, aż zębami zgrzytnęła.

Na dworze tymczasem para gruchająca powędrowała między drzewa, między krzaki. To trzydziestoletnie dziecko, pani profesorowa, zaspakaja ciekawość, jaką życie zaczęło w niej budzić.

Następne dni upłynęły Jadwidze w najprzykrzejszym stanie. Jakby napila się gorzkości, których strawić nie może, tak, że ciągle biją jej w gardło, taki niesmak w ustach i rozdrażnienie czuła. Za żadne skarby świata nie byłaby pozwoliła dzieciom pójść do gospodyni, gdzie je ta... zbydlęcona idyotka... całować może.



XV

Tymczasem los wystawił ją na najcięższą próbę.

Dzieci wstały raz rano i przeciągały się za-
długo w łóžeczkach. Nie dostawały nigdy kawy,
dopóki nie były całkiem ubrane, a dziś oświad-
czyły, że i pić nie chcą, bo zmęczone... ze spania.

Nakoniec ubrały się leniwie i zasiadły do
śniadania. Rychło odłożyły je oboje.

— Dzieci zaczynają mi grymasić... — zauwa-
żyła Jadwiga.

— Nie, mamó! — odrzekł Oleś zmęczonym
głosem — Tylko nie mogę... Mnie gardło boli...

— I mnie, mamusiu.

— Pokaż Olu, gdzie cię boli?

Ustawiła go na krześle i zajrzała do gardła.

— Nie tam nie ma...

Była spokojna, lecz dzieci nie wypuszczała tego dnia. Wczoraj były w ogrodzie z Kasią po deszczu, może to wpłynęło na nie.

Na drugi dzień rano zbudziły się z główkami ciężkimi i znowu ze skargami na ból gardła. Istotnie, miały łuki podniebienne czerwone, a migdałki trochę obrzmiałe.

— Będą musiały dni kilka przesiedzieć w pokoju — pomyślała z niezmaconym spokojem, i wzięła się do zwykłych lekarstw domowych. Ostatni czas wyrobił w niej tyle praktyczności, że nie wzruszała się lada jakim faktem i nie wychodziła z równowagi umysłu.

Nad wieczorem zdawało się, jakby dzieci miały gorączkę.

— To dopiero nieprzyjemność! — zaczęła Jadwiga medytować, i przyszło jej na myśl, czy ona małych nie hartuje zbyt? Czy nie przesadza w swobodnych, lekkich ich ubiorkach i codziennem nacieraniu zimną wodą po wyjściu z ciepłego łóżka.

— To drobnostka, przeziębily się trochę. Rano będzie można doktora Olszewskiego zawołać.

Tej nocy spała wraz ze Stefką, a łóżko Oleśia przysunęła do swego. Oczu zmrużyć nie mogła. Nad ranem zerwała się, zdawało jej się, jak-

by Stefka miała dreszcze. Zaczęła ją badać, i dostrzegła, iż szyja jej okryta wysypką. Olesia również.

Wysłała Kaśkę po doktora, uklękła przy łóżku, wypytuje dzieci, co ich boli, czy czego nie jadły, czy nie upadły na kamienie...

One były w gorączce.

Minęła godzina, minęła druga, doktor nie przyszedł. Stanowczo — u dzieci groźne objawy... zapowiedzi pierwszej ciężkiej choroby... Zagląda do okien, przytula się do ciałek maleńkich, a głowa w ogniu jej staje. Doktora nie ma.

Prócz kucharki niańczącej w kuchni własne maleństwo, ani żywej duszy. Przez kwadrans panuje we wszystkich pokojach cisza, potem urywane jęki i wykrzyki wstrząsają pustką... Biedactwa, muszą bardzo cierpieć, a tu ona nie ma pojęcia, co im jest, co robić; do głowy zaś nie przychodzi nawet myśl poradzenia się starej, doświadczonej swej gospodyni lub jej córki. Czekać trzeba, a każda chwila straszniejsza.

Nakoniec nadszedł lekarz. Niski, szpakowaty mężczyzna, o inteligentnem, poważnem wejrzeniu.

— Pani dobrodziejka wybaczy — powiada, powitawszy się ze stroskaną matką, którą znał już z chwili szczepienia ospy Stefce. — Jesteśmy w tych dniach ogromnie w mieście zajęci...

Ona bez tchu wlepiła weń wzrok pytający.

— Czy panuje jaka choroba ?

— Panuje ? nie, tego nie możnaby powiedzieć; ale niech-no pani pozwoli.

Schylił się, a Stefka, nieodurzona jeszcze całkiem gorączką, przestraszyła się i zaczęła płakać.

— Proszę pani odkryć ich koszulki — wyrzekł, nie drażniąc jej dotykami.

Górna część klatek piersiowych była okryta jasno-czerwonemi plamami.

Jadwigę przestrach ogarnął.

— I gardła mają obrzmiałe — szepnęła — i gorączkę z dreszczami.

— Wiem — odrzekł doktor Olszewski wstrząsając głową i zmierzył ją bystro.

— Czy dzieci wychodziły w ostatnich dniach ?

— Przedwczoraj, wczoraj trzymałam je w pokoju.

— A bawiły się może w ogrodzie publicznym ?

— Tak, panie, ale co im jest, na litość !

— Wszak nie potrzebuję obwijać prawdy w opłatki... W mieście panuje od tygodnia szkarlatyna, i widzę...

Pod Jadwigą nogi się zgięły

— Ale niech się pani uspokoi — wyrzekł doktor, dostrzegłszy gwałtowną zmianę na jej twarzy. — Któż bierze rzeczy zaraz tak tragi-

cznie.... Młoda jeszcze z pani matka. Toż niebezpieczeństwa nie ma żadnego, a gdyby, broń Boże, było, to także radzić, działać trzeba, a nie zalaćmywać rąk.

Z łóżecka rozległ się głośny płacz Stefki. Miotła się gwałtownie, zrzuciła z siebie kołdrę.

— Ja się duszę, mamó, ja się duszę! — zaczął i Oleś rzucać się i wołać przeraźliwie. Do niepoznania zmienione ich twarzyczki były obrzmiałe, malinowemi okryte plamami i potem, a oczy błyszczały mętnym blaskiem gorączki.

— Limoniady! — polecił doktor.

W Jadwigę jakby nowy duch wstąpił. Uklękła przed Stefką, przemówiła najpieszczotliwszemi wyrazami, wlewała jej do ust napój chłodzący, a równocześnie słuchała z całą uwagą słów lekarza.

— Jak widzę — dodał — to pani sama sobie nie da rady. Pomimo siły i panowania nad sobą, nie masz pani doświadczenia. Czy pani tu sama?

— Nikogo, prócz piastunki i kucharki nie mam. Ah, i ona ma dziecko... Trzeba, by się chyba stąd wydalila, bo je sama karmi... Zostanę więc sama z dziewczyną.

— To źle. Szczerze radzę, by pani przyjęła kogo specjalnie do dzieci. W każdym razie pilnować się bardzo musimy, proszę pani, bo słabość może przysporzyć obrót przykry...

— I owszem, panie konsyliarzu. — Bardzo proszę...

— W takim razie pożegnam panią teraz... Wrócę za kilka godzin i przyprowadzę kobietę, co już zna się na chorobie, jak siostra miłosierdzia. Tymczasem niech pani pamięta...

Wyszedł, a Jadwiga padła na klęczki przed Olesiem. Zerwała się zaraz gorączkowo i zadzwoniła.

— Kasiu! — i kazała powiedzieć kucharce, żeby dziecko oddała, a jeśli sama wróci lub przysła inną, dostanie piękną zapłatę.

— Kiedy bo proszę pani, ona już i tak sobie uciekła... — wyrzekła Kasia zmieszana, kręcąc się nieciepliwie po pokoju.

W kilka godzin, nad wieczorem, dr. Olszewski wrócił. Otworzył drzwi, zrobił kilka kroków, a z piersi krzyk mu się wydarł:

— Pani!

Jadwiga ujęła go rozpaloną dłonią, twarz jej błyszczała nienaturalnymi rumieńcami, wargi miała spieczone. Smukła jej postać chwiała się, jak drewno wiatrem smagane.

— Jestem w rozpacz... w rozpacz... — szepnęła, ściskając konwulsyjnie jego rękę. — Głowa mi pęka... mrozi mnie straszliwie, i w gardle dławi... Jeżeli i to biedactwo tak cierpi... to okro-

pne... Co się ze mną dzieje, mów pan, ale szczerze, wszystko... i ta służąca na domiar... Czy przyszła kobieta?

— Pani zachrowałaś sama! — wykrzyknął doktor. — Czy pani przebyła w młodości błonicę?

— Nie, wątpię... teraz... teraz oszaleję chyba...

W pokoju mrok kładł się po kątach... szarzało. Cisza panowała głucha, jak w pustce, lecz co chwil kilka słychać było chrypliwy oddech, sapanie ciężkie, a potem rozlegał się ton żalony, jęk, krzyk niezrozumiały, co przeszywał powietrze. I znowu cisza nastawała, tylko białe plamy ruchomych prześcieradeł widniały posępnie. Straszno tu było.

— Ależ pani, pani szanowna — prosił lekarz — uspokój się pani. W imieniu tych dzieci proszę. Nieszczęście stało się, ale nie trać pani głowy, bo jeszcze większe może nastąpić. Co się tu stało?

Ułożył Jadwigę na sofie, a ona, wijąc się pod jego dotknięciem, cierpiała niewymownie.

— Kucharka moja odeszła... dziewczyna uciekła po południu — powiada bezwładnym głosem. — Uciekła... młoda... przestraszyła się widać. Teraz jestem sama, chora, jeśli mnie nie stanie — zginą, zginą chyba...

Tym rozpaczliwym wykrzykom zawtórowały majaczenia dzieci. Oleś wydawał jakieś komendy, to głos jego opadał, przechodził w bezustanne westchnienia, i jęki bolesne. Stefka rzadko się odzywała, chwilami tylko szeptała płacząco :

— Mamo, mammo...

To noc nadchodząca czarnym kirem oblekła nietylko świat zewnętrzny, ale i chore umysły. Pokój stawał się coraz posepniejszym.

Jadwiga robiła wysiłki, aby powstać.

— Ależ pani, to być nie może...

Ułożył ją gwałtem.

— Niechże pani nie będzie tak dziecinną... To trudno. Pomyślmy zaraz, co począć...

Zapalił lampę, zaopatrzył, uspokoił dzieci. Ona patrzała nań, czuła, że sama podnieść się nie może, by spojrzeć na dzieci, i serce jej się krajało.

— Ratuj je, ratuj pan! — zawołała, uchwyciwszy obie jego ręce. — Nie umiem prosić, mówić trudno... szaleć chyba, płakać... Patrzaj pan na tych dwoje... ja oprócz nich nic więcej nie mam — ani one prócz mnie... Na litość, mów pan, co będzie? czy szkarlatyna doprawdy wypadek lekki? błagam...

Wypowiedziała to chrypliwym, urywanym tonem, a doktor tarł sobie czoło zabrużdżone.

Wtem dało się ze strony sadu słyszeć silne pukanie do okna.

— Ah! — rzuciła się Jadwiga przestraszona.

I dzieci zerwały się. Wykrzyki ich były bezprzytomne, a rozdzierające serce.

— Ja nie chcę, abys pani tu była z chorymi! — rozlegał się głośny, rozdrażniony głos ze sadu.

— Rób pani, co chcesz, ale wyprowadźcie się stąd, a dzisiaj... pójdźcie stąd sobie... Słyszysz pani, czy nie? Nie chcę, bys pani tu była z nimi...

Był to głos profesorowej, namiętny i silny; twarz jej przytknięta do szyby, była czerwona, ze wzburzenia.

— A będziesz ty cicho! — strofował ją gruby bas Koczkowiczowej. — To zuchwalstwo niesłychane... jakby ona tu była gospodynią..! Jeszcze dzięki Bogu ja mam do rozkazywania, nie ty... Niech jej tam pani nie słucha, moja pani! Ja to pani mówię... ja...

— A moje dzieci to u mamy nic! — krzyknęła profesorowa z pasją, do jakiej nikt nie sądziłby jej zdolną. — A niech wszystko się dzieje, ale ja je muszę ochronić przed tą cholera... Pani musisz stąd się wybrać... słyszysz pani!

— Ależ tu można zwaryować! — zawołał doktor w największej irytacji i wybiegł na dwór, do starej, w której utylitaryzm zawsze prym trzy-

mał, a która teraz cały potok obelżywych słów wylewała na córkę, działającą pod wpływem nieucywilizowanego instynktu zwierzęcego.

Jadwiga siedziała na sofie z oczyma prawie nieprzytomnemi. Uchwyciła się za skronie, za włosy i zaczęła je targać w rozpacz.

Doktor dostrzegł ją w tym stanie.

— Pani! — myśl o dzieciach! — krzyknął przestraszony. Oderwał jej ręce od głowy, ułożył znowu. — Mów pani lepiej, co zamýślasz... Ja jestem na wszystko gotów... Pani tu nie zostaniesz, bo tamte babska wściekły się, a prócz tego nie ma tej dozorczyńi, o której myślałem. Trzeba zaradzić... a tu pani zirytowałaś się, gorączkujesz strasznie... Co robić, jak pani sądzi..? tylko prędko...

— Zdaję się na pana. Pan widzi... mnie przytomność opuszcza — to z rozpacz! Jedno muszę panu powiedzieć... gdyby choroba przybrała groźny charakter... niechbym ja padła... lecz one... dla nich wszystko, panie! Mamy majątek, rozporządzaj pan... nie nie będzie za drogiem... One mają zresztą ojca... Gdyby było bardzo źle ze mną — zatelegrafuj pan po niego... Kazimierz... Zimowiecki, ale gdzie? We Wiedniu... tam policja wyszuka hotel...

Nie mogła więcej mówić. Twarz jej świeciła

plamami w zmroku, oczy rozszerzyły się. Pokój cały, słabo w jednym punkcie oświetlony, ożywiony chodem jednego tylko doktora dokoła trzech chorych, był podobny do posępnego szpitala.

— Pani jesteś w malignie — wymówił doktor — Jeszcze raz błagam: staraj się pani uspokoić, zapanować... Czas uchodzi, trzeba coś postanowić...

Cichy, bolesny jęk Stefki zamagnetyzował ją znowu. Robiła ciężko piersiami, muszkuły drgały jej we walce z chorobą, która coraz bardziej zaciemniała jej samowiedzę. Piękna, młoda, wytworna ta kobieta dostała w ciągu kilku godzin twarz obrzmiałą, plamistą, oczy błędne, postać, bez wdzięku, bez woli, wstrząsaną dreszczami.

Uczepiła się rąk lekarza, wlepiła weń wzrok.
— Pozostaje szpital... — szepnął.

Jadwigę drgawki przeszły, jak w konwulsjach.

— Ale boję się — dodał więcej dla siebie, niż do chorej. — Przepełnienie, epidemia... Ha!

— Zbierz pani siły! — zdecydował się nagle.
— Mam nadzieję zwalczyć chorobę. Ofiaruję pani pokój w moim mieszkaniu... zaraz przewieziemy tam dzieci, a o wygodach i opiece już ja pomyślę...

Jadwiga zrozumiała. Poruszyła wargami, lecz nic nie wyrzekła. Ciężka choroba powaliła ją,

wspólnego, że nie posiadają historii. Dzień za dniem, fakt za faktem upływa monotonnie, podniebienie przyzwyczajają się tak do ciastka, jak i do razowego chleba, do wysokiej temperatury uczucia, jak i do łańcucha poziomych trosk i zgryzot, jedno i drugie przechodzi w stan normalny. Zmiana następuje wskutek silnego wstrząśnienia, ono jednak, zachwiewając równowagę, burzy też pogodę szczęścia. W końcu, nie zna ani jedno, ani drugie nudów, bo mają czas zapelniony.

I Maryśka żyła jednostajnie, ta jednostajność zaś zatarła w niej resztki uczucia i wstydu. Nie bywała między ludźmi, bo i gdzież? Dawniejsze znajome są już majstrowemi i gospodyniami, nowych przyjaźni nie zawiązuje. Wszyscy jej unikali, nawet robotnice. Ostatnie miały swoich kawalerów, lecz prowadziły się z nimi za ręce, uczęszczały do szynku razem — kochali się, a ta Maryśka... musi *ta* mieć także kogoś, ale chyba pana czy Bóg wie, jakie licho; skądżeby brała pieniądze?.. Tu ustaje już pobłażliwość; miłość jest rzeczą ludzką, sprzedawać się, to ani po bożemu, ani po zwierzęcemu.

...Mniejsza o to! — myślała Maryśka z desperacją, i uciekała od rzeczywistości w sferę fantazyi. Zalewała się wódką i było jej dobrze, Michaśko, dostawając zawsze jedzenie, miał się tak-

że dobrze, a najlepiej — pan kontrolor.

Do budżetu wydatków miesięcznych wpisał on jeszcze wydatek sześciu reńskich i powiedział sobie, że jest najpraktyczniejszym człowiekiem w całym Ostrogu.

...Dbać o duszę, jak i o ciało — to mi rozum! — filozofował. — Tymczasem służy mi ta... a dziewczka tęga! Ma w sobie coś tak szelmowskiego, przy swoim chłodzie i milczeniu, że mnie drażni i korci... ogromnie pikantnie... wściekle przyjemnie. Za rok, za dwa będzie inna... wyrośnie córka pana inspektora... Teraz to jeszcze koza, ale rozwinie się, oho! i będzie egzemplarz jak mama... wówczas ją wezmę... rzecz już umówiona ze starymi... I nastanie znowu życie miłe a systematyczne...

Systematyczność przede wszystkim!

— KONIEC TOMU PIERWSZEGO. —





450/iv/76

I/ii 90,-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

090794

Biblioteka WSP Kielce



0167243